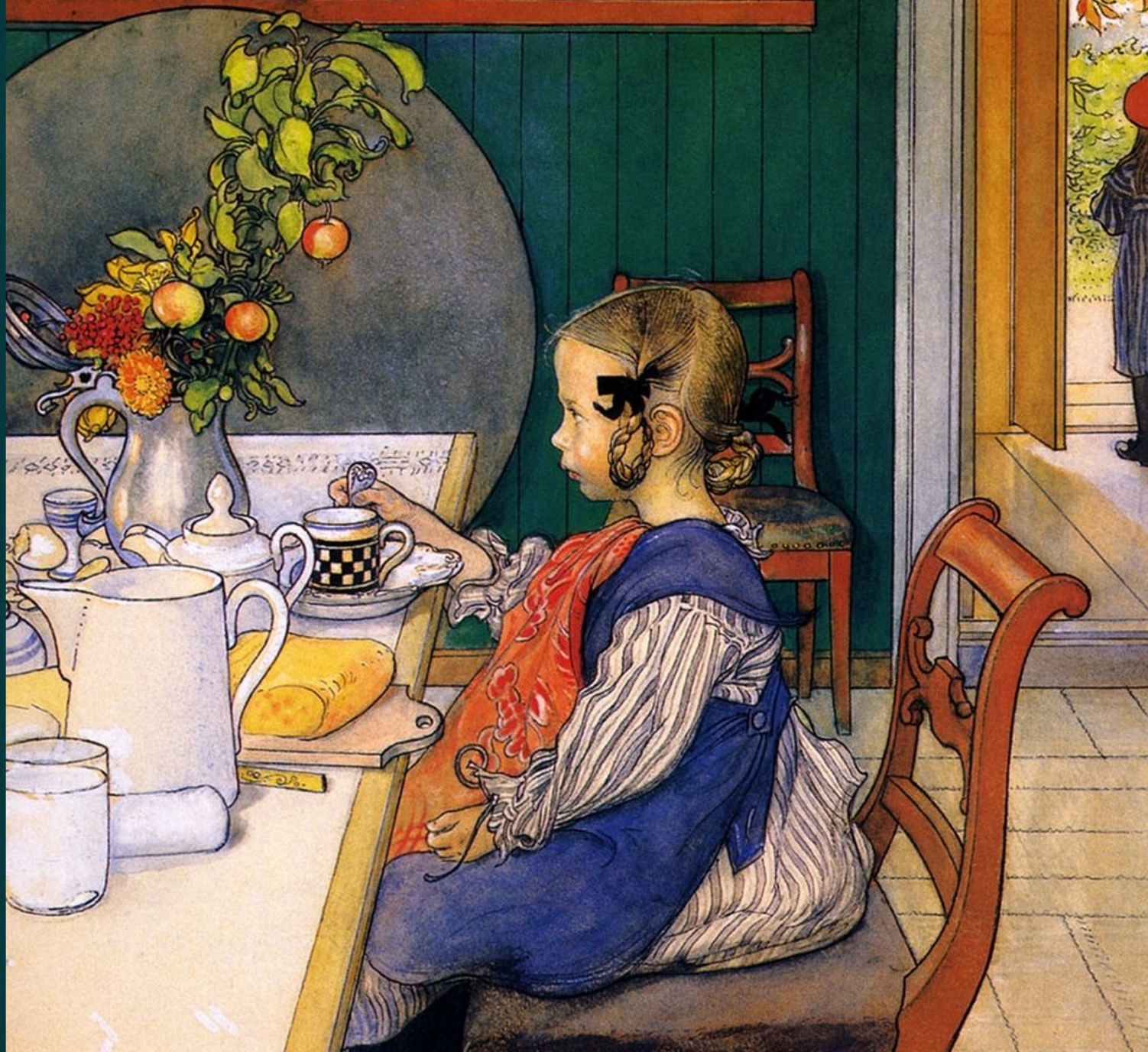


ARTE ET PROBITATE



EDITH NESBIT

Poszukiwacze skarbu


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

 1900

EDITH NESBIT

*Poszukiwacze skarbu*¹

TŁUM. HALINA JEL

I. WIELKA NARADA

Naszym grodem rodzinnym jest Lewisham Road². Dom nasz stoi na uboczu i ma niewielki ogród. Nazywamy się Bastablowie³. Jest nas

¹*Poszukiwacze skarbu* — podtytuł angielski brzmi: *Przygody dzieci z rodziny Bastablów poszukujących fortuny* (*Being the adventures of the Bastable children in search of a fortune*). W wersji angielskiej książka opatrzona jest następującą dedykacją: Oswaldowi Barronowi, bez którego książka ta nigdy nie zostałaby napisana. *Poszukiwacze skarbu* dedykowani są wspomnieniom takich lat dziecińczych, jak opisane, różniących się jedynie zdarzeniami, czasem i miejscem [tłum. red. WL] (*TO OSWALD BARRON Without whom this book could never have been written. The Treasure Seekers is dedicated in memory of childhoods identical but for the accidents of time and space*). Oswald Barron (1868–1939) był angielskim dziennikarzem i znawcą genealogii i heraldyki. Przyjaciel Edith Nesbit, wspólnie napisali książkę *The Butler in Bohemia*. [przypis edytorski]

²*Lewisham Road* — obecnie część Londynu. [przypis edytorski]

³*Bastablowie* — zachowano tradycyjną, spolszczoną pisownię. Dziś popr. forma to: Bastable'owie. [przypis edytorski]

sześcioro, prócz ojca, a mama nasza umarła. Dora jest najstarszą z nas. Potem idzie Oswald, potem Dick⁴. Ala⁵ i Noel są bliźniętami, a moim najmłodszym bratem jest Horacy Oktawiusz. Jeden z nas pisze tę książkę i bardzo was proszę, ażebyście się nie starali odgadnąć, kto jest autorem.

Oswald miewa czasem doskonałe pomysły i on pierwszy zapragnął szukać skarbu.

— Jedynym sposobem by podnieść podupadłą rodzinę i przywrócić jej majątek — rzekł Oswald — jest (tu chrząknął) odkrycie skarbu. Musimy zabrać się do poszukiwań.

Pomysł ten zachwycił Dorę. Starła się właśnie zacerować wielką dziurę w skarpetce Noela (zrobił ją, gdyśmy się bawili w rozbójników morskich).

Dora jedyna z nas szyje, ceruje i wywabia plamy. Ala pragnie czasem być pomocną Dorze, lecz to się jej nie udaje.

⁴*Dick* — zdrobnienie od Richard; w angielskiej wersji książki częściej: Dicky. W polskim wydaniu z 1925 roku w tym miejscu znajdowało się imię Olek, to spolszczenie nie powtórzyło się jednak dalej w teście. [przypis edytorski]

⁵*Ala* — w oryginale Alice. [przypis edytorski]

Raz nawet zrobiła szydełkiem czerwony serdak dla Noela, który ma delikatne płuca i łatwo się przeziębia. Ale serdak był z jednej strony o wiele szerszy niż z drugiej, więc go Noel nie chciał nosić. Dora zrobiła z serdaka szaliki na szyję, a ponieważ od śmierci mamy nosiliśmy czarne ubrania, więc kolor czerwony bardzo je ożywił.

Wiele się zmieniło od śmierci mamy. Zbrakło pieniędzy na drobne wydatki, goście przestali przychodzić na prośzone obiady. Srebro, które w wielkich skrzyniach zabrano do naprawy, nigdy już nie powróciło do domu. Pewno ojciec nie miał dosyć pieniędzy, by zapłacić za odniesienie skrzyń do domu, takie były ciężkie.

Nasze nowe widelce, łyżki i noże mają kolor żółto-biały, są o wiele lżejsze i błyszcząły tylko przez dwa dni.

Ojciec ciężko zachorował po pogrzebie mamy. Podczas tego wspólnik tatusia wyjechał do Hiszpanii. Od tego czasu było coraz mniej pieniędzy.

Służba odeszła i została tylko jedna służąca do wszystkiego.

Domyśliliśmy się wtedy, że majątek rodziny Bastablów podupadł istotnie.

Przestaliśmy też chodzić do szkoły⁶. Ojciec powiedział, że jak tylko będzie mógł, to pośle nas do szkół w Londynie i że tymczasem dobrze nam zrobi przerwa w nauce.

Pewno miał rację, ale wolelibyśmy, by nam powiedział po prostu, że nie ma pieniędzy na opłacenie szkoły, o czym i tak już wiemy.

Dużo ludzi zaczęło przychodzić z kopertami, na których nie było marek⁷ pocztowych⁸ — a wszystkie osoby były bardzo zagniewane i mówiły, że po raz ostatni przychodzą do ojca, zanim go oddadzą w inne ręce.

⁶*Przestaliśmy też chodzić do szkoły* — na przełomie XIX i XX w., kiedy dzieje się akcja *Poszukiwaczy skarbu*, większość szkół w Anglii była płatna. [przypis edytorski]

⁷*marka pocztowa* — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

⁸*Dużo ludzi zaczęło przychodzić z kopertami, na których nie było marek pocztowych* — najprawdopodobniej chodzi o weksle: pisemne zobowiązanie danej osoby do zapłacenia (zwrócenia) posiadaczowi weksła konkretnej sumy w konkretnym czasie. Swoisty odpowiednik kredytu. [przypis edytorski]

Pytałem Elizy, co mają znaczyć te inne ręce. Wytłumaczyła mi i bardzo mi żal tatusia. Jednego dnia przyszedł policjant z wielkim niebieskim papierem. Wylękliśmy się bardzo. Ale ojciec powiedział, że wszystko w porządku! Tylko gdy jak zwykle przyszedł na dobranoc do dziewcząt, kiedy już leżały w łózkach, obie mówiły, że płakał! Pewien jestem, że się im tylko zdawało. Tylko tchórze i mazgaje płaczą, a ojciec mój jest najdzielniejszym człowiekiem na świecie.

Widzicie zatem, że był najwyższy czas, abyśmy się wzięli do poszukiwania skarbu. Tego zdania był Oswald. Dora chciała jeszcze zaczekać, ale zakrzyczeliśmy ją. Odbyło się wielkie zgromadzenie w jadalnym pokoju, Dora zasiadła w fotelu, a myśmy ją otoczyli.

— Musimy zrobić coś — orzekła Ala — nasza skarbonka jest zupełnie pusta.

I na dowód otworzyła skarbonkę, w której się nie znajdowało nic, prócz przedziurawionego grosza „na szczęście”.

— A cóż mamy zrobić? — odezwał się Dick.
— Łatwo powiedzieć „musimy coś zrobić” —
Dick lubi wszystko wiedzieć dokładnie.

— Przeczytajmy wszystkie książki od początku, może wpadniemy na jakiś pomysł — powiedział Noel.

Domyśliliśmy się zaraz, że chciał tylko powrócić do swoich książek, więc kazaliśmy mu siedzieć cicho. Noel jest poetą. Sprzedał nawet kiedyś swoje poezje. Ale o tym opowiem kiedy indziej.

— Najlepiej będzie — rzeki Dick — jeżeli usiądziemy cicho i będziemy myśleć przez dziesięć minut. Każdy powie swoją myśl i będziemy kolejno próbować wszystkich sposobów odnalezienia skarbu.

— Nie dziesięć minut, ale pół godziny, ja nic nie wymyślę w dziesięć minut — zawołał H. O. Prawdziwe jego imię jest Horacy Oktawiusz, ale nazywamy go tak dla skrócenia.

Usiedliśmy cicho. Już po dwóch minutach przekonałem się, że wszyscy mieli pomysły prócz

jednej Dory, która jest ślamazarą. A po pięciu minutach H. O. krzyczał:

— Musimy być cicho dłużej niż pół godziny. Jeszcze nic nie wymyśliłem. — H. O. ma osiem lat, ale jeszcze nie zna się na zegarze. Oswald w jego wieku znał się nawet na zegarze słonecznym. Zaczęliśmy wszyscy mówić jednocześnie, Dora zatkała uszy palcami i zawołała:

— Nie wszyscy razem. Nie bawimy się w wieżę Babel. (Śliczna gra! Znacie ją?)

Dora ustawiła nas kolejno podług wieku. Pierwszy mówił Oswald:

— Dobrze by było w czarną, bezgwiezdną noc, zaciąwszy się na rozstajnych drogach zatrzymywać przejeżdżające karety. Zamaskowani, na koniach, z pistoletami w rękach, wołalibyśmy: „Życie albo pieniądze! Opór na nic się nie zda! Mamy broń nawet w zębach!” Mniejsza o to, że nie mamy koni, karetami też już nie jeżdżą.

Dora podrapała się w nos i rzekła tonem dobrej siostry z powieści dla młodzieży:

— To jest zły pomysł. Wygląda to na kieszonkowe złodziejstwo.

— Mam jeszcze sto innych pomysłów — odpowiedział urażony Oswald. — Gdybyśmy jakiegoś starego pana obronili przed piratami morskimi na przykład.

— Teraz już nie ma piratów — przerwała Dora.

— Właśnie, że są, zresztą wszystko jedno, gdybyśmy go uchronili przed wielkim niebezpieczeństwem. Wtedy on by się okazał księciem Walii i rzekł: „szlachetny i zacny mój obrońco! Oto milion tysięcy! Zbliź się, Oswaldzie Bastabel⁹!”

Inni nie myśleli o urzeczywistnieniu tego projektu. Przyszła kolej na Alę.

— A może wziąć laskę magiczną i spróbować drogi szczęścia. Często o niej czytałam, bierze się kij, to jest laskę magiczną, do ręki

⁹*Bastabel* — forma spolszczona nazwiska. W wersji oryginalnej *Bastable*. [przypis edytorski]

i idzie się prosto przed siebie; a gdy się docho-
dzi do miejsca, w którym jest zakopane złoto,
laska sama zatrzymuje się. Wtedy trzeba kopać
w tym miejscu.

— Ach! — krzyknęła Dora — mam do-
skonąłą myśl, ale ja powiem ostatnia. Teraz ko-
lej na H. O.

— Zostańmy bandytami, to musi być takie
zabawne.

— To jest złe i nieuczciwe — rzekła Dora.

— Dora uważa wszystko za złe i nieuczciwe
— ujął się Dick za H. O.

— Właśnie, że nie.

— A właśnie, że tak.

I pokłócili się.

— Bez sprzeczek. Jeżeli Dora nie chce, to
niech się z nami nie bawi, a ty, Dicku, nie
bądź idiotą — pogodził Oswald rodzeństwo.
— Noel, twoja kolej, spiesz się! — I kopną-
łem go pod stołem. Noel się też obraził i wcale
nie chciał mówić.

— Zachowuj się jak mężczyzna, a nie jak
gęś — poprosił go Oswald.

I Noel powiedział, że nie jest jeszcze zdecydowany, czy wyda swoje poezje, czy też poszuka księżniczki i ożeni się z nią.

— Cokolwiek się stanie — dodał — nikomu nic nie powiem, bo Oswald kopał mnie i powiedział, że jestem gęsią.

— Nie — bronił się Oswald — powiedziałem „nie bądź gęsią”. — I Ala wytłumaczyła, że było to coś wręcz przeciwnego, więc nastąpiła zgoda.

Teraz przyszła kolej na Dicka.

— Mam dopiero początek pomysłu. Powiem wam innym razem — rzekł z tajemniczą miną.

— Schowaj swój głupi pomysł dla siebie! Teraz kolej na Dorę — zawołał Oswald. A Dora wskoczyła na fotel i powiedziała:

— Zamiast iść drogą szczęścia i szukać skarbu po świecie, zabierzmy się po prostu do kopania w naszym ogrodzie. Na pewno go znajdziemy. Chodźmy zaraz kopać. — Pobiegliśmy po łopaty. Nie mogę wyjść z podziwu, czemu ojciec nigdy nie wpadł na tę genialną myśl

i chodzi co dzień do biura, zamiast szukać skarbu w ogrodzie.

II. KOPANIE

Obawiam się, że pierwszy rozdział znudził was. Nudne to jest zawsze, kiedy w powieściach ludzie mówią i mówią bez końca. Ale musiałem opowiedzieć to wszystko, bo inaczej nie zrozumielibyście mojej historii. Najciekawsze są zawsze te książki, w których się coś dzieje. Tak samo jest w życiu.

Toteż nie opowiem w mojej książce o dniach, w których nie zachodziło nic nowego. Nie usłyszycie ode mnie ani razu „smutny dzień minął powoli” albo „przechodziły dni, miesiące, lata” lub „czas mijał bez zmiany”. Bo czy się o tym mówi, czy nie, czas mija i nic w tym interesującego nie ma. Będę więc mówił tylko o ważnych zajściach i ciekawych przygodach. Każdy z was domyśli się, że w międzyczasie jedliśmy, wstawaliśmy, myliśmy się i kładliśmy spać. Powiedziałem to wujkowi Alberta-

-z-przeciwka, który przyznał mi rację. On też jest literatem i zna się na takich rzeczach.

Postanowiwszy szukać skarbu w ziemi, po-
biegliśmy na strych po łopaty. Znalezliśmy na-
sze stare łopaty, które dostaliśmy przed trzema
laty, gdy byliśmy nad morzem.

Pilno nam było zabrać się do roboty, ale
dużo czasu straciliśmy na czyszczenie łopat, bo
dziewczęta nie chciały kopać zakurzonymi. One
zawsze mają takie dzikie fantazje. Znalezliśmy
miejsce niedaleko śmietnika (czytaliśmy już nie
raz, że skarby bywają ukryte obok śmietników),
ale grunt był twardy i natrafiliśmy na same
kamienie.

Przenieśliśmy się zatem do ogrodu i tam,
pośrodku klombu, zabraliśmy się do roboty.
Praca była ciężka i jak dotychczas, bezowocna.

Właśnie Albert-z-przeciwka zaglądał do nas
przez parkan, nie bardzo go lubiliśmy, ale ba-
wimy się z nim czasem, bo jego ojciec umarł,
a należy być dobrym dla sierot, nawet takich,
które mają matkę. Albert doprowadza nas do
rozpaczy swoim porządkiem; nosi sztywne koł-

nierze i mankiety nieskazitelnej białości, jedwabne krawaty i aksamitne kurtki. Jak on w tym wszystkim może wytrzymać!

— Dzień dobry, Albercie-z-przeciwka.

— Co wy tam robicie?

— Wykopujemy skarb — powiedziała Ala — wyczytaliśmy w starych manuskryptach, że tu szukać należy. Chodź, pomożesz nam. Gdy wykopujemy wielki dół, znajdziemy misę pełną złota i drogich kamieni.

Albert-z-przeciwka wzruszył ramionami.

— Te skarby to pewno znowu jakieś bajki albo wasze wymysły.

Albert nie umie bawić się z nami; czyta niechętnie i w ogóle jest niemądry. Ale to nie jego wina.

— Chodź do nas — zaprosił Oswald — gdy wykopujemy skarb, podzielimy się z tobą.

— Nie chcę skarbu, nie lubię kopać i idę na podwieczorek.

— Chodź — zawołała Ala — pożyczę ci mojej łopaty, jest najlepsza.

Albert przyszedł do nas przez płot i wzięliśmy się ponownie do roboty. Dół stawał się coraz większy. Pomagał nam też nasz pies, Rex, który doskonale kopie, zwłaszcza gdy szuka szczurów. Brudzi się przy tym bardzo, ale nawet z zasmoloną mordą jest najmilszym i najukochańszym psem.

— Należałoby przeprowadzić tunel — proponował Oswald — tym sposobem dostaniemy się do wielkiego skarbu.

— Szczury! — zawołałem, a Rex zaczął charczeć. Oparł się na przednich nogach, kopiąc tylnymi, jak gdyby rzeczywiście węszył myszy.

Tunel wypadł wspaniale, miał już przeszło łokieć długości i byliśmy przekonani, że jeszcze chwila cierpliwości, a dotrzemy do skarbu.

Teraz, z kolei, Albert miał wejść do tunelu, ale nie chciał.

— Bądź mężczyzną — powiedział Oswald. (Nikt nie może zaprzeczyć, że Oswald postępuje jak mężczyzna). Ale Albert nie chciał. Uważaliśmy, że obowiązkiem naszym było zmusić go do tego.

— W tym nie ma nic trudnego — zapewniała Ala. — Wejdiesz do tunelu i będziesz rękami usuwał ziemię, a potem przyklepiesz łopatą, ażeby się tunel nie zapadł. No chodź! Zamknij oczy, to nie zauważysz, że w tunelu jest ciemno. Ja tak robiłam. Przecież wszyscy byliśmy w tunelu prócz Dory, która się boi robaków.

— I ja się boję robaków!

Ale przypomniał mi, że nie dalej jak wczoraj złapał brunatną glistę i rzucił ją Dorze w twarz.

— Pozwólcie mi wejść nogami do tunelu. Będę kopał butami. Słowo honoru!

Zrobiliśmy to ustępstwo.

Albert wszedł do tunelu, a właściwie położył się w nim i tylko mu głowa wystawała.

— Kop, kop, Albercie! — nalegała cała gromadka. I Albert kopał z całej siły swoimi nowymi, żółtymi trzewikami. Nagle cały tunel zapadł się i Albert-z-przeciwka został przydużony ciężarem ziemi. Biedny chłopak!

Okropnie krzyczał, nie wiadomo czemu, bo ostatecznie nie cierpiał, a było mu tylko niewygodnie i nie mógł poruszać nogami. Chcieliśmy go nawet wykopać, ale darł się wniebogłosy, więc uradziliśmy, że najlepiej będzie pójść do kucharki Alberta-z-przeciwka, opowiedzieć jej, że Albert został żywcem zagrzebany (ale tylko wypadkiem) i żeby była taka dobra i pomogła nam go wydostać.

Wydelegowaliśmy Dicka, który długo nie wracał. Albert-z-przeciwka rozkrzyczał się tymczasem na dobre, bo wypluł ziemię, którą miał w ustach i nic mu nie przeszkadzało.

Wreszcie powrócił Dick z wujem Alberta-z-przeciwka. Wuj Alberta ma długie nogi, jasne oczy i ciemną twarz. Dawniej był marynarzem, a teraz jest poetą. Lubię go bardzo.

— Bądź cicho przez jedną chwilę i powiedz, czy się uderzyłeś?

Albert odpowiedział, że go nic nie boli, bo chociaż jest wielkim tchórzem i mazgajem, nie kłamie nigdy.

— Robota to nie lada wykopać mojego siostrzeńca — powiedział wuj Alberta-z-przeciwka i poszedł do ogrodnika po wielką łopatę.

— Przyznać muszę, że nie jest mi obojętnym dramatyczne położenie mojego siostrzeńca (wuj Alberta wyraża się czasem bardzo po literacku) i chciałbym wiedzieć, dlaczego został tu zakopany? Mam nadzieję, że nie użyliście siły.

— Tylko „siłę moralną”! — rzekła Ala.

Dużo mówiono o sile moralnej w szkole, do której uczęszczała.

Pewno nie wiecie, co to jest siła moralna? Jest to zmuszanie do robienia tego, czego się nie chce, za pomocą kpin, dokuczania albo grożenia karą lub nagrodą...

— A więc użyliście siły moralnej? — zdziwił się wuj Alberta-z-przeciwka.

— Tak — rzekła Dora — bardzo nam przykro, że właśnie Alberta, a nie kogoś z nas, spotkała ta nieprzyjemność. Właściwie to była moja kolej i ja powinnam była zejść do tunelu, ale

ja się boję robaków, więc mnie zwolnili. Szukaliśmy skarbu.

— I zdaje mi się — przerwała Ala — że byliśmy tuż przy skarbie, gdy tunel zapadł się nad Albertem. Biedaczek — dodała z westchnieniem, a Albert-z-przeciwka znowu się rozpląkał.

Wreszcie wuj wykopał go. Oblepiony błotem, z rozwichrzonymi włosami i zapłakaną twarzą wyglądał bardzo śmiesznie. Podeszliśmy do niego i dziewczęta zaczęły go całować. Nie wzruszył się tymi przeprosinami i zrobiło nam się nad wyraz przykro.

— A więc szukaliście skarbu — pytał wuj Alberta-z-przeciwka — obawiam się, że niewiele znajdziecie. Przestudiowałem niejedną książkę, tycząca się tego przedmiotu. Nigdy nie słyszałem, aby w jednym ogrodzie można było znaleźć więcej niż jeden... a to co?

I wskazał coś błyszczącego na ziemi w tym miejscu, z którego wykopał Alberta. Oswald

schylił się i podniósł pół korony¹⁰. Spojrzeliśmy wszyscy na siebie w niemym zachwycie (jak w powieści).

— Jakież szczęście macie! — rzekł wuj Alberta. — Oto po pięć pensów dla każdego z was.

— Nie, po cztery z ułamkiem — zawołał Dick — jest nas siedmioro.

— Jak to? Albert należy też do poszukiwacza skarbu?

— Naturalnie — odparła Ala.

I postanowiliśmy zmienić pół korony i dać Albertowi jego część.

Wuj tymczasem włożył kamizelkę i surdut, który zdjął do kopania. Po czym nachylił się i podniósł z ziemi — rzecz nie do uwierzenia, a jednak prawdziwa — drugie pół korony!

I pomyśleć, że były dwa pieniądze zakopane. Przy całym moim doświadczeniu nie słyzałem o podobnym fakcie.

¹⁰*korona* — dawna angielska jednostka monetarna. Najdrobniejszą monetą był pens. Dwanaście pensów to szyling (system angielski nie był systemem dziesiętnym). Pięć szylingów to korona, a pół korony to dwa szylingi i sześć pensów. Dwadzieścia szylingów to funt. Gwinea to funt i jeden szyling, czyli dwadzieścia jeden szylingów. [przypis edytorski]

Byłoby dobrze, gdyby wuj Alberta-z-przeciwnika zechciał co dzień przychodzić do nas i pomagał nam w poszukiwaniach skarbu. Musi mieć doskonały wzrok. Dora patrzyła na to miejsce, gdzie znalazł drugie pół korony i nie widziała nic a nic.¹¹

III. W DROGĘ!¹²

Cztery szylingi¹³ wykopane z ziemi były dla nas nieocenionym majątkiem. Początkowo pragnęliśmy schować te pieniądze i w jakikolwiek bądź sposób powiększyć nasz majątek.

Ale Dorze potrzebne były nożyczki i postanowiła użyć na ten cel swych pieniędzy.

Ala (jak zwykle) wtrąciła się.

¹¹Wuj tymczasem włożył kamizelkę i surdut, który zdjął do kopania... — ten fragment tekstu znajdował się w druku w rozdziale trzecim. Został przesunięty do rozdziału drugiego, ponieważ przynależy do niego logicznie i według angielskiego oryginału. [przypis edytorski]

¹²W drogę! — pomiędzy rozdziałami *Kopanie* (*Digging for Treasure*) a *W drogę!* (*Good Hunting*) w wersji angielskiej znajduje się pominięty w tłumaczeniu rozdział *Detektywi* (*Being Detectives*). [przypis edytorski]

¹³szyling — dawna angielska jednostka monetarna. Najdrobniejszą monetą, groszem, był pens. Dwanaście pensów to szyling (system angielski nie był systemem dziesiętnym). Pięć szylingów to korona. Dwadzieścia szylingów to funt. Gwinea to funt i jeden szyling, czyli dwadzieścia jeden szylingów. [przypis edytorski]

— Oswaldzie, ty powinieneś odkupić Dorze nożyczki za swoje pieniądze, bo tyś je połamiał przy krojeniu.

Ala miała słuszość, lecz przypomniałem sobie, że zanim połamiałem nożyczki, H. O. wyszczerbił je.

— To jest zarówno wina H. O. Ciekawym, dlaczegóż by on nie miał zapłacić?

(Oswaldowi nie zależy na tych kilku groszach, ale nie lubi niesprawiedliwości).

— H. O. jest małym dzieckiem — powiedział Dick.

H. O. stanowczo temu zaprzeczył i o mało co nie przyszło do walki między nimi.

Oswald dobrze wie, kiedy należy być wspa-
niałomyślnym; zdecydował, „że sam zapłaci sześć pensów¹⁴, a resztę doda H. O., ażeby się nauczyć poszanowania cudzej własności”.

¹⁴*pens* — najdrobniejsza moneta w dawnym angielskim systemie monetarnym. Dwanaście pensów to szyling (system angielski nie był systemem dziesiętnym). Pięć szylingów to korona. Dwadzieścia szylingów to funt. Gwinea to funt i jeden szyling, czyli dwadzieścia jeden szylingów. [przypis edytorski]

H. O. jest naprawdę dobrym dzieckiem i przystał na to. Dowiedziałem się potem, że jego część zapłaciła Ala z własnych pieniędzy.

Następnie okazało się, że wymalowaliśmy wszystkie farby i Noel musiał kupić nowy kajet i ołówek do spisywania swoich utworów. Zauważyliśmy też w sklepie wspaniałe jabłka i nowy gatunek karmelków.

Wreszcie pozostało nam w majątku kilka pensów i uchwaliliśmy ponowną naradę.

Dora przyszywała guziki do ubrania H. O., albowiem kupił sobie scyzoryk i obciął wszystkie guziki przy ubraniu. Dora miała niemałą robotę z przyszywaniem.

Wyobraźcie sobie, że przy takim jednym dziecięcym ubraniu są, ni mniej ni więcej, dwadzieścia cztery guziki.

Ala starała się daremnie nauczyć Rexa sztuk cyrkowych, a reszta z nas piekła kasztany. Rozpaliliśmy ogień w kominku, chociaż i bez niego było aż za gorąco.

— Cóż robić? — zaczął Dick. — Wszyscy mówicie „zrobimy coś” i jak dotąd siedzicie z założonymi rękami.

— Może spróbujemy uratować kogoś od niebezpieczeństwa — przypomniał Oswald; ale nikt o tym słyszeć nie chciał, więc zamilkł.

— Jaki jest projekt Noela? — spytała Ala.

— Księżniczka albo książka z poezjami — odpowiedział sennie Noel. — Księżniczkę sam znajdę sobie i dopiero po ślubie przedstawię ją wam.

— Czy napisałeś już dosyć poezji, ażeby je wydać w książce? — zapytał Dick. Pytanie było na miejscu i Noel poszedł szukać swoich utworów. Znalazł tylko siedem (zrozumiałych dla nas i dla niego) poematów. Był tam między innymi i „Strach Malabaru¹⁵” i poemat poświęcony śmierci kochanego czarnego karalucha, który został otruty.

¹⁵*Strach Malabaru* — niżej: Strachy Malabaru. Wybrzeże Malabarskie to kraina geograficzna w Indiach, nad Morzem Arabskim. W XIX i w pierwszej połowie XX wieku w posiadaniu Wielkiej Brytanii. W polskim tłumaczeniu Malabaro to także imię bohatera wiersza, w tekście angielskim Malabar to nazwa statku, zaś wiersz Noela nosi tytuł *Wrak Malabaru*. [przypis edytorski]

O, karaluchu, płaczę, gdy spojrzę na
twego biednego trupa.
Jakże to smutnym jest rzeczywiście!
Świeciła twa czarna skorupa...
Pragnę, byś ożył nam znowu i zaczął spa-
cery po ścianie,
Ale Eliza zapewnia, że się to nigdy nie sta-
nie.

Eliza kupiła doskonałą truciznę na karalu-
chy i setki ich leżały w kuchni i korytarzach.
Ale Noel utwór swój poświęcił tylko jednemu.
Nie miał czasu na pisanie oddzielnego wiersza
na cześć każdego karalucha (tak nam powie-
dział). Chcieliśmy tego wybranego pochować
z należytych szacunkiem i napisać na nagrob-
ku poezję naszego brata, ale okazało się, że sam
autor nie wiedział, któremu swój wiersz zade-
dykował.

Nie było jednak dosyć poezji, by wydać je
w książce.

— Musimy zaczekać rok lub dwa; kiedyś napiszę więcej. Myślałem właśnie o wierszu na temat: „Mucha, której nie smakuje mleko zsiadłe”.

— Ale pieniądze są nam niezwłocznie potrzebne — powiedział Dick.

— Przecież drukują poezje i w pismach — rzekła Ala. — Rex, poszedł precz!

— Nie wiemy jednak, czy płacą w pismach? Dick myśli zawsze o ważnych i pożytecznych rzeczach.

— Nie wiem — rzekła Dora — ale wątpię, czy ktokolwiek zechciałby drukować swoje utwory za darmo... Ja przynajmniej nie zgodziłabym się na to nigdy.

Noel był innego zdania. Powiedział, że gdyby tylko zobaczył poezje swoje i nazwisko wydrukowane, byłoby mu obojętne, czy dostanie pieniądze, czy nie.

— Możemy w każdym razie spróbować — rzekł Oswald.

Dora ma najładniejszy charakter pisma, więc przepisała na ślicznym papierze listowym „Stra-

chy Malabaru” i siedem innych poezji Noela. Ja zaś narysowałem Malabaro, rzucającego się na smoka.

Przez dłuższy czas nie mogliśmy się zdecydować, czy wysłać te utwory pocztą, czy też osobiście udać się do redakcji. Dora radziła napisać, ale Noel nie chciał się zgodzić i zapewnił nas, że nie wytrzymałby z ciekawości, gdyby nie wiedział od razu, czy poezje zostaną przyjęte, czy nie. Pojechałem z Noelem, bo jestem najstarszym i nie można puszczać Noela samego do Londynu.

Dick utrzymywał, że poezja to głupstwo i rad jest, że się nie narazi na śmieszność, jak my. (Powiedział to tylko dlatego, że nie było dosyć pieniędzy, by i on z nami pojechał).

H. O. nie mogliśmy także zabrać. Odprowadził nas tylko na stację i powiewał chusteczką.

— Powodzenia! — zawołał — przywieźcie skarb!

I pociąg ruszył.

W kącie wagonu siedziała jakaś starsza pani w binoklach¹⁶ i pisała coś ołówkiem na długich drukowanych arkuszach papieru.

— Zapewne jedziecie zwiedzić skarbiec królewski¹⁷? — zapytała nas.

— Nie, proszę pani. My jedziemy po skarb. Musimy odrestaurować majątek rodzinny Bastablów.

— Rzeczywiście?

— Mamy najrozmaitsze drogi i sposoby, których kolejno próbujemy. Drogą Noela jest poezja. Wielcy poeci są podobno dobrze płatni.

Nasza nowa znajoma roześmiała się serdecznie (bardzo miła i wesoła osoba) i przyznała się nam, że jest także poetką, a długie, zadrukowane arkusze, są powieścią, którą napisała.

Opowiedzieliśmy jej o wykopanym skarbie i o naszych projektach na przyszłość. Pani prosiła Noela, żeby jej przeczytał swoje poezje.

¹⁶*binokle* — rodzaj okularów. Binokle nie mają uchwyty na uszy, a na nosie trzymają się dzięki specjalnej sprężynie. [przypis edytorski]

¹⁷*skarbiec królewski* — ang. *Jewel House*; znajduje się w Londynie, na terenie twierdzy Tower. Trzymane są w nim m.in. insygnia królewskie i klejnoty koronacyjne. [przypis edytorski]

Nie chciał, wstydził się, robił chińskie ceregiele, a w końcu dał się namówić.

Poezje podobały jej się bardzo i chwaliła też ilustrację Malabara. Potem przeczytała nam swoje wiersze, o wiele ładniejsze od wierszy Noela.

Wiem wprawdzie, że nie należy kłamać, ale nie powiedziałem tego Noelowi, gdy pytał mnie następnie, czyje poezje podobają mi się bardziej. Miał biedaczysko smutną minę, więc nie mogłem dopuścić, ażeby w tak ważnej chwili poeta płakał.

— Oto dwa nowiuteńkie szylingi — rzekła nam pani poetka przy pożegnaniu — przydadzą się wam może na nowej drodze życia.

— Dziękuję — zawołał Noel i wyciągnął rękę. Ale Oswald przypomniał sobie, że nie wolno niczego przyjmować i powiedział:

— Dziękujemy Pani, ale ojciec nie pozwala brać pieniędzy od obcych osób.

— Ale co znowu! — zawołała pani poetka — przecież Noel i ja jesteśmy, jako poeci, spokrewnieni ze sobą. Słyszeliście o braciach-po-

etach? Noel i ja jesteśmy czymś w tym rodzaju: ciocia i siostrzeniec poeci!

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ale ciocia-poetka ciągnęła dalej:

— Posłuszeństwo wasze podoba mi się bardzo! Oto szylingi i moja karta wizytowa z adresem. Gdyby wam ojciec kazał zwrócić pieniądze, możecie mi je odesłać. A teraz do widzenia i powodzenia!

Opowiedzieliśmy ojcu o znajomości z tą panią. Nie gniewał się na nas tym razem, a gdy ujrzał jej kartę wizytową powiedział, że spotkał nas wielki zaszczyt, bo pani Leslie jest największą współczesną poetką angielską.

IV. POETA I REDAKTOR

Prawdziwym świętem był dla nas samodzielny pobyt w Londynie. Zapytaliśmy, gdzie jest ulica Fleet, bo na niej, mówił ojciec, znajdują się redakcje wszystkich pism. Ale niemal do wieczora błąkaliśmy się po najrozmaitszych uli-

cach, zanim dotarliśmy do celu. Zatrzymaliśmy się przed wszystkimi sklepami z zabawkami; wstąpiliśmy do kościoła Świętego Pawła¹⁸, bo Noel chciał koniecznie zobaczyć pomnik Gordona¹⁹ (wiecie, że Gordon był wielkim bohaterem angielskim). Wreszcie Noel tak się zmęczył, że pojechaliśmy tramwajem. Noel w ogóle jest bardzo słabowity. Nie dziwię się: podobno wszyscy poeci są chorowici.

Poszliśmy do „Dziennika powszechnego”, bo miał piękny szyld. Zapytaliśmy o redaktora. Odesłano nas na poprzeczną ciemną ulicę do niewielkiego domu.

Jakiś pan w granatowym mundurze otworzył nam drzwi i kazał napisać na kartce nazwiska i czego sobie życzymy.

Oswald wykaligrafował:

OSWALD BASTABEL
NOEL BASTABEL

¹⁸kościół *Świętego Pawła* — właśc. katedra Świętego Pawła. Jeden z najbardziej znanych kościołów anglikańskich; znajduje się w centrum Londynu. [przypis edytorski]

¹⁹*Charles George Gordon* (1833–1885) — generał i administrator brytyjski w epoce kolonialnej. [przypis edytorski]

interes bardzo prywatny.

Usiedliśmy na kamiennej ławce, która była zimna i wilgotna, a pan w mundurze zaczął nam się przyglądać, jak gdybyśmy byli co najmniej okazami z ogrodu zoologicznego.

Czekaliśmy już dobre pół godziny, gdy przybiegł jakiś chłopak i rzekł:

— Pan redaktor nie ma czasu. Może napiszecie, jaki macie interes — i uśmiechnął się znacząco do pana w mundurze.

Chciałem rzucić się na niego; ale Noel nie stracił zimnej krwi i poprosił o pióro, atrament, papier i kopertę.

— Napiszcie pocztą — mruknął chłopak. Ale Noel jest upartym kozłem (to jego największa wada) i rzekł stanowczo:

— Ja chcę zaraz napisać.

Chłopak wzruszył ramionami, ale pan w mundurze podał pióro, atrament, papier i kopertę, a Noel zabrał się do pisania.

Wreszcie po długich namysłach nagryzmoili następujące słowa.

Kochany Panie Redaktorze! Pragnę, by Pan wydrukował moje poezje i zapłacił mi za nie. Jestem przyjacielem pani Leslie, która jest także poetką.

Szczerze oddany Noel Bastabel.

Polizał kilkakrotnie kopertę i zakleił ją, ażeby chłopak odnosząc list nie mógł go przeczytać. Napisał na kopercie „osobiste” i oddał chłopakowi.

Przypuszczałem, że się to na nic nie zda, ale po chwili chłopak wrócił i rzekł z wielkim uszanowaniem:

— Pan Redaktor prosi panów. — Weszliśmy ciemnymi, krętymi schodami na górę, potem przeszliśmy przez szereg korytarzy, w których rozlegał się stuk i unosił się dziwny zapach. Chłopak był dla nas bardzo uprzejmy i objaśniał nam, że hałasują maszyny drukarskie, a pachnie farba drukarska.

Wreszcie stanęliśmy przed drzwiami, które otworzył, i znaleźliśmy się w dużym pokoju

o niebieskich tapetach i kominku, na którym płonął ogień, chociaż to był dopiero październik.

Pośrodku pokoju stało kolosalne biurko, zasypane papierami, jak u ojca w gabinecie.

Po jednej stronie stołu siedział mężczyzna o jasnych oczach i bladej twarzy. Wyglądał bardzo młodo, za młodo nawet jak na redaktora.

— Dobry wieczór — rzekł — więc jesteście przyjaciółmi pani Leslie.

— Zdaje się — odpowiedział Noel — dała nam po szylingu i życzyła powodzenia.

— Powodzenia? Tak, tak. Cóż z tymi poezjami? Który z was jest poetą?

Nie rozumiem, jak mógł zadać podobne zapytanie. Oswald jak na swój wiek wygląda bardzo po męsku. Nie wypadało jednak obrazić się o takie posądzenie, więc rzekłem:

— Oto mój brat Noel, poeta — a Noel pobladł, jak dziewczyna.

Redaktor wskazał nam krzesła przy stole, po czym zaczął czytać poematy Noela.

Noel zbladł jeszcze silniej i zdawało mi się, że zemdleje, jak wtedy gdy się zaciął w palec, a potem dla zatamowania krwi włożyliśmy mu rękę do miski z zimną wodą.

Redaktor przeczytał pierwszy wiersz, zdaje się ten o karaluchu, podniósł się z fotela i stanął tyłem do nas. Nie jest to chyba oznaka dobrego wychowania, ale Noelowi zdawało się, że jak to piszą w książeczkach, chce „ukryć piorunujące wrażenie”, jakie na nim wywarły poezje mojego brata.

Po przeczytaniu wszystkich utworów, redaktor zwrócił się do Noela.

— Młodzińcze, poezje twoje podobają mi się bardzo... Dam ci za nie — no; ileż ci zapłacić?

— Jak najwięcej — odrzekł Noel — Widzi pan, my potrzebujemy dużo, bardzo dużo pieniędzy, ażeby podnieść byt materialny rodziny Bastablów.

Pan redaktor włożył okulary na nos, począł nam się bacznie przyglądać.

— Pragniecie podnieść byt materialny... dobra myśl, opowiedzcie mi szczegółowo, jak wpadliście na ten pomysł. Może napijecie się herbaty ze mną, jest pora podwieczorku?

Zadzwoił na chłopaka, kazał mu podać trzy szklanki herbaty i podskoczyć po ciastka do cukierni.

Zasiedliśmy do podwieczorku z panem redaktorem. Była to wielka chwila w życiu Noela, ale na razie nie pomyśleliśmy nawet o tym.

Redaktor zadawał nam pytania, na które odpowiadaliśmy dosyć oględnie, bo przecież nie można mówić obcym o wszystkich szczegółach życia domowego.

Siedzieliśmy około godziny, a przy pożegnaniu redaktor rzekł nam ponownie:

— Wydrukuję twoje utwory, młody poeto. Jak ci się zdaje, ile są warte?

— Nie mam pojęcia — odrzekł Noel z godnością — nie pisałem na sprzedaż.

— A na co pisałeś? Dlaczego?

— Nie wiem, zdaje mi się, że przyszły same z siebie.

— Zatem sztuka dla sztuki — rzekł redaktor i uśmiechnął się zadowolony wielce, jak gdyby Noel powiedział coś bardzo mądrego.

— Czy wystarczy gwinea²⁰?

Słyszałem już o ludziach, którzy pod wpływem silnego wrażenia kamienieli, czytałem o ludziach, których wielki ból i wielka radość zabiła, ale nie wyobrażałem sobie, że można wyglądać tak głupio, jak Noel w tej chwili... Stał z otwartymi ustami, oszołomiony, czerwony i nie mógł się słowem odezwać. Wyręczył go Oswald.

Redaktor dał Noelowi gwineę, poklepał go po ramieniu i rzekł:

— Oto twoje pierwsze zarobione pieniądze i miejmy nadzieję, że nie ostatnie. A teraz, idź do domu i zabierz się do pracy. Za dziesięć lat, nie wcześniej jak za dziesięć lat, przynieś mi znowu swoje poezje. Chociaż my nie drukujemy żadnych wierszy, biorę twoje, bo mi się

²⁰*gwinea* — dawna angielska jednostka monetarna. Najdrobniejszą monetą był pens. Dwanaście pensów to szyling (system angielski nie był systemem dziesiętnym). Pięć szylingów to korona. Dwadzieścia szylingów to funt. Gwinea to funt i jeden szyling, czyli dwadzieścia jeden szylingów. [przypis edytorski]

wyjatkowo podobają. Będę je musiał pomieścić w innym piśmie.

— A co pan drukuje w „Dzienniku powszechnym”? — spytałem.

— Ostatnie nowiny dnia, wiadomości polityczne, artykuły o ludziach sławnych. A może znacie jaką sławę?

— Nie wiem nawet, kim są te sławne osoby.

— Królowe i księżniczki, osoby utytułowane i takie, które pisują, malują, śpiewają lub słyną z mądrości.

— Mamy tylko jednego znajomego z tytułem, lorda Tottenhama.

— Skądże znacie tego starego wariata?

— Nie znamy go wprawdzie osobiście, ale spotykamy go co dzień na spacerze. Wygląda jak olbrzym w swojej czarnej pelerynie. Na nikogo nie zwraca uwagi i tylko, jak zegar, mówi do siebie.

— A cóż mówi? — spytał redaktor, usiadł ponownie i wyjął pióro wieczne i notatnik.

— Raz tylko dosłyszeliśmy, jak mówił: „Wyście przyczyną ruiny kraju, wyście spowodowali upadek i nieszczęście”. I poszedł do krzaków, okalających wzgórze, wymachiwał laską, jak gdyby się tam nagromadzili wszyscy nieprzyjaciele.

— Talent opisowy... — rzekł półgłosem redaktor. — No i cóż dalej... słyszeliście?

— Nie, nic więcej. Prócz tego lord przychodzi dzień w dzień za miasto na ów pagórek, rozgląda się, czy nie ma nikogo i zdejmuje kołnierz... — Redaktor przerwał mi (podobno ludzie dobrze wychowani nie przerywają w toku opowiadania).

— Czy nie fantazjujesz młodzieńcze?

— Nie rozumiem — odpowiedział Oswald.

— Pytam, czy nie ma w tym opowiadaniu zabarwienia osobistego...

— Nie kłamię nigdy — rzekł Oswald i powstał. Redaktor roześmiał się i zapewnił Oswalda, że nie chciał go obrazić, i że kłamstwo i fantazja to nie to samo.

Przeto Oswald mówił dalej:

— Schowaliśmy się kiedyś za wzgórze i widzieliśmy, jak zdjął kołnierz i rzucił w krzaki; potem wyjął czysty z kieszeni palta i włożył go. Gdy odszedł, podnieśliśmy ten kołnierz. Był papierowy.

— Dziękuję — rzekł redaktor i włożył rękę do kieszeni — wiadomości twoje są warte pięć szylingów. Oto je masz. A może, zanim pójdziecie do domu, obejrzyście drukarnię.

— O! tak.

Redaktor zawołał jakiegoś pana, któremu polecił oprowadzić nas po drukarni. Pożegnał się z nami ponownie. Noel, który do tej pory milczał jak zaklęty, rzekł, rumieniąc się niemożliwie.

— Ułożyłem w głowie poezję dla pana pod tytułem „Do zacnego i szlachetnego redaktora”. Czy mógłbym ją napisać?

— Owszem, owszem. — I redaktor dał mu swoje wieczne pióro. Noel usiadł przy biurku, zrobił dwa kleksy (ale przypadkowo) i napisał:

Wdzięczność moja jest bez granic,

Dobry, zacny redaktorze,
Chociaż nie dam ci nic a nic,
Lecz ci Pan Bóg dopomoże.

— Dziękuję — rzekł (zdaje mi się) wzruszony redaktor. Jesteś pierwszym poetą, który mi zadedykował swój wiersz. Umiem to cenić.

Obejrzeliśmy drukarnię, a potem pojechaliśmy do domu.

Udał się nam połów skarbu. Ale poezji Noela nie pomieścił redaktor w „Dzienniku powszechnym”.

W kilka miesięcy potem, przeglądając jakiś tygodnik, przeczytaliśmy historię, którą musiał napisać nasz redaktor.

Historia wcale nie zajmująca. Była w niej mowa o Noelu, o mnie, o podwieczorku u redaktora i wszystkie utwory Noela były zacytowane. Wyglądało to na kpiny, ale Noel czuł się szczęśliwym, bo widział wiersze swoje wydrukowane...

Bądź co bądź, rad jestem, że to nie moje poezje.

V. KSIĘŻNICZKA NOELA

Zjawiała się niespodzianie. Nie szukaliśmy jej wcale, ale Noel uprzedził nas, że spotka księżniczkę i ożeni się z nią. I tak też uczynił.

Chociaż nie znaleźliśmy przy tej sposobności żadnych skarbów, prócz dwunastu czekoladek, przygoda była ciekawa, więc ją wam opowiem.

Ulubionym miejscem naszych zabaw był park Greenwich²¹. Niestety, znajduje się dosyć daleko. Wolelibyśmy oczywiście, ażeby był bliżej, ale zdaje się, że byłoby trudno przeprowadzić go pod nasz dom.

Czasami Eliza pakuje nam do koszyka butersznyt²² i owoce i wybieramy się na cały dzień do parku. Eliza chętnie to robi, bo nie gotuje wtedy obiadu.

Czasem, niby od niechcienia, mówi nam:

²¹*Greenwich* — przywrócono pisownię oryginalną; w wydaniu źródłowym: Grinwicz. [przypis edytorski]

²²*butersznyt* (daw., z niem.) — kanapka. [przypis edytorski]

— Zrobiłam doskonały pasztet na zimno. Możecie pójść do parku albo zjeść w domu. Pogoda prześliczna.

Eliza daje nam kubek. Dziewczęta czerpią nim wodę, ale ja piję wprost ze strumienia. Podstawiam głowę, a woda sama płynie mi do ust. To jest najlepszy, wypróbowany sposób. Dick i H. O. piją tak samo. Tylko Noel pije z kubka i mówi, że jest to zaczarowany złoty puchar króla karzełków.

Dzień, w którym się zjawiała (albo zdarzyła) księżniczka, był jednym z ostatnich pięknych dni wrześniowych.

Spacerowaliśmy długo, wreszcie położyliśmy się na trawie, ażeby odpocząć nieco. Dick zaproponował zabawę w małpy amerykańskie, ale przypomniał sobie w samą porę, że ogrodnik nawymyślał nam ostatnio za skakanie po drzewach. Więc urządziliśmy sobie wielkie polowanie na śniadanie. Zjedliśmy wszystko dokumentnie, po czym wykopaliśmy dół pod drzewem i schowaliśmy papiery i skórki od pomarańczy.

— Widzę zaczarowanego, białego niedźwiedzia — szepnęła Ala tajemniczo — chodźmy jego śladem...

— Ja będę niedźwiedziem — zawołał Noel i skrył się w krzakach. Pobiegliśmy za nim w głąb parku i rozpoczęła się zabawa. Chwilami znikał nam w zaroślach, to znów ukazywał się, a myśmy ścigali go, dążąc jego śladem.

— Gdy go złapiemy, zacznie się walka — rzekł Oswald — ja będę królem portugalskim na Morzu Śródziemnym!

— A ja rycerzem Waligórą — zawołał Dick.

— A ja Amazonką²³ — powiedziała Dora (ona jedna nie przestaje być kobietą nawet w zabawie!).

— A ja będę piętnastoletnim kapitanem²⁴ — zawołała Ala.

²³*Amazonka* — przedstawicielka mitycznego plemienia wojowniczek. [przypis edytorski]

²⁴*Piętnastoletni kapitan* — powieść przygodowa z 1878 roku pióra Juliusza Verne'a. Opowiada o przygodach Dicka Sanda, piętnastoletniego chłopca, który po śmierci kapitana i reszty załogi, przejmuje dowodzenie statku „Pilgrim” (w polskim przekładzie „Wędrowiec”). [przypis edytorski]

— A ja Robinsonem²⁵ — krzyknął H. O.

— Cicho... — szepnęła Ala. — Spójrzcie na prawo. Ukazuje się białe futro potwora.

Pobiegliśmy za niedźwiedziem, lecz znowu znikł w gęstwinie leśnej. Nagle, w miejscu, gdzie nigdy dotąd nie widziałem muru, zdumionym naszym oczom ukazała się biała ściana. Nie mogliśmy znaleźć Noela, a że w ścianie była furtka otwarta, przeszliśmy przez nią.

— Niedźwiedź ukrył się pośród lodowych skał — rzekł król portugalski (Oswald) — nabijam strzelbę i idę go upolować.

Otworzyłem parasol, który Dora zabiera dla Noela na wypadek deszczu. Wiecie, że poeci skłonni są do przeziębień. I ruszyliśmy dalej.

Za ścianą znajdował się piękny ogród z cudnymi kwiatami i klombami. Poszliśmy ścieżką wysypaną żółtym piaskiem. Na zakręcie ukazał się Noel. Stał z plamą atramentu na policzku (mimo próśb Dory nie zmył jej, wychodząc z domu); rozwiązało mu się sznurowadło u bu-

²⁵*Robinson Crusoe* — bohater słynnej powieści Daniela Defoe; spędził wiele lat jako rozbitek na bezludnej wyspie. [przypis edytorski]

cika i był wpatrzony w małą dziewczynkę, najśmieszniejszą dziewczynkę, jaką kiedykolwiek widziałem.

Wyglądała jak mała porcelanowa laleczka. Miała buzię jasną, długie złote włosy, zaplecione w dwa warkocze, czoło duże, wypukłe; policzki pełne, a oczy niebieskie. Ubrana była w czarną jedwabną sukienkę, spod której widać było strasznie cienkie nogi, obute w czarne lakierki. Siedziała na ogrodowym krześle nieruchoma i wyprostowana, a na kolanach trzymała szarego kotka.

Podchodząc usłyszeliśmy, jak pytała Noela:
— Kto ty jesteś?

Noel zapomniał, że przed chwilą jeszcze był niedźwiedziem i już bawił się w ulubioną grę.

— Jestem księciem Kamaralcaman²⁶.

Dziewczynka uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Myślałam, że jesteś zwyczajnym chłopcem. — A ujrawszy nas, zapytała znowu. —

²⁶*Kamaralcaman*, właśc. *Kamar al-Zaman* — jeden z bohaterów *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. [przypis edytorski]

Czy wy także jesteście książętami i księżniczkami?

Odpowiedzieliśmy jednogłośnie: tak! A ona na to:

— I ja także jestem księżniczką.

Powiedziała to z takim przekonaniem, jak gdyby to była prawda. Rzadko spotyka się dzieci, którym nie trzeba tłumaczyć wszystkiego od początku.

Nawet i wtedy mówią, że będą „na niby” królem lub czarownicą.

Ale ta dziewczuszka powiedziała od razu:

— „Jestem księżniczką”.

Potem spojrzała na Oswalda.

— Zdaje mi się, że Cię spotkałam w Paryżu.

A Oswald odpowiedział:

— Być może.

Dziewczynka miała dziwny głosik i wymawiała każde słowo śpiewnie i wolno.

H. O. zapytał, jak się nazywa kot.

Miał śmieszne imię „Katinka”.

Po namyśle Dick odezwał się:

— Chodźmy gdzieś dalej. Gdy się bawimy w pobliżu okien, to zawsze ktoś się przez nie wychyli i powie: „Nie wolno”.

Dziewczynka spuściła kota na ziemię, wstała i rzekła:

— Nie wolno mi chodzić po trawie.

— Szkoda!...

— Ale pójdę z wami.

— No, to chodź!

Pobiegliśmy wszyscy w stronę furtki, usadowiliśmy się na trawie i księżniczka usiadła pośrodku. Zapytała nas, czy lubimy „dragées²⁷” (wuj Alberta-z-przeciwka powiedział mi, jak się to słowo pisze).

— Nie wiemy, jak to smakuje.

Więc księżniczka wyjęła srebrne pudełeczko z kieszeni i dała każdemu po dwie płaskie czekoladki.

Zapytałem, jak jej na imię. Ale księżniczka nie miała jednego, zwykłego imienia, lecz nieskończoną ilość nazwisk, imion i tytułów. Za-

²⁷ *dragées* (fr.) — drażetki. Niewielkie cukierki, czekoladki lub orzechy w kolorowej polewie. [przypis edytorski]

częła je wyliczać, nie mogła dojść do końca. H. O. utrzymywał, że jest ich pięćdziesiąt, a Dick bieglejszy w liczeniu, że tylko osiemnaście.

Pierwsze były: Paulina, Aleksandra, Maria, Henryka, a kończyło się Hildegardą, Brunhildą, Kunegundą.

— Powtórz jeszcze raz — prosił H. O.

Powtórzyła od początku do końca, ale i wtedy nie zdołaliśmy zapamiętać.

Powiedzieliśmy jej nasze imiona, ale wydawały się jej zbyt krótkie. Gdy przyszła kolej na Noela rzekł głosem niezmiernie uroczystym.

— Jestem księciem Noelem, Kamaralcaman, Iwanem, Konstantym, Ryszardem, Charlemagne²⁸, Wilhelmem, Edwardem Bastabel.

Gdy księżniczka prosiła go, ażeby powtórzył, pomylił się i zapomniał połowy swych imion.

— Wstydz się, jesteś dość duży, by pamiętać swoje imiona! — powiedziała księżniczka ze śmieszoną powagą. — A gdzie są wasze guwernantki i bony?

²⁸ *Charlemagne* — francuski zapis imienia Karola Wielkiego (742 lub 747–814), króla Franków, a od roku 800 cesarza Imperium Rzymskiego. [przypis edytorski]

— Nie mamy żadnych.

— Jakże wam zazdroszczę! Przyszliście tutaj sami?

— Tak — rzekła Dora — przez park.

— Ach, jacyście szczęśliwi! — mówiła dziewczynka, siedząc wyprostowana jak lalka, z małutkimi rączkami skrzyżowanymi na kolanach — jacyście szczęśliwi! Jakże bym pragnęła pójść do parku i przejechać się na osiołku. Ale mi nie wolno! — westchnęła żałośnie.

— Jak to dobrze, że nam nikt niczego nie zabrania! — zawołał H. O. — jak tylko mam drobne, jeżdżę konno na ośle. Raz nawet popędziłem galopem! — Księżniczka westchnęła jeszcze żałośniej.

— Nie martw się — powiedział Noel — mam mnóstwo pieniędzy, chodź z nami, to przejedziesz się na osiołku.

— Muszę być posłuszną.

Dora przyznała jej rację, a myśmy zrobili powątpiewające miny. Zapanowało przykre milczenie. Wreszcie Ala przerwała je i zaczęła się żegnać.

— Nie odchodźcie jeszcze — poprosiła księżniczka — na którą godzinę obstalowaliście karete?

— Mamy czarodziejską karete, zaprzężoną w srebrne rumaki, a pojawia się na nasze życzenie! — rzekł Noel. Dziewczynka wydeła pogardliwie usteczka.

— To jest zdanie z książki.

Wtedy Noel przypomniał sobie, że przyrzekł nam ożenić się z księżniczką.

— Śpieszmy się ze ślubem, bo inaczej nie zdążymy na podwieczorek do domu.

Księżniczka była zdziwiona, ale zgodziła się na ślub.

Z chustki do nosa Dory (ona tylko miała czystą chustkę) zrobiliśmy welon dla panny młodej, a z trawy — obrączki. I pobłogosławiliśmy młodą i dobraną parę.

Następnie pokazaliśmy księżniczce różne gry, których nie знаła: komórki do wynajęcia, czarnego luda, berka. Rozbawiliśmy się na dobre. Nagle, podczas największej gonitwy, księżniczka przystanęła z przerażoną miną. Na ścieżce

stały dwie czarno ubrane panie o bardzo nie-
miłych twarzach.

— Paulino, któż są te dzieci?

— Księżniczki i książęta — odpowiedzia-
ła dziewczynka, zapominając najwidoczniej, że
nie można bawić się ze starszymi.

— Księżniczki i książęta — syknęła owa
pani ze złością. — To są najzwyczajniejsze dzie-
ci.

— Zwyczajne dzieci! — zawołała dziew-
czynka — Jakże się cieszę! Jakże się cieszę! Gdy
dorosnę, będę się bawić tylko ze zwyczajnymi
dziećmi!

I podbiegła do nas i zaczęła nas ścisnąć i ca-
łować.

Guwernantka zaperzyła się i krzyczała na
cały głos:

— Niech Jej Wysokość wraca do domu!

— Nie chcę! — tupiała nóżkami księżnicz-
ka.

— Marianno, zanieś Jej Wysokość do do-
mu.

I Marianna wzięła dziewczynkę, która posyłała nam całusy i nie przestawała wołać: Zwyczajne dzieci! Jakże się cieszę! Zwyczajne dzieci!

Pani, która została, rzekła do nas:

— Wynoście się w tej chwili, bo poślę po policję.

Więc poszliśmy. H. O. i Ala pokazywali język tej guwernantce, a Dora powiedziała.

— To była prawdziwy księżniczka i pomyśleć, że tutaj mieszka.

— Nawet księżniczki muszą gdzieś mieszkać — odpowiedział Dick.

— Gdybym wiedziała, że to nie było „nani”, spytałabym ją o tyle rzeczy — żałowała Ala.

— A ja — rzekł H. O. — co jadła na obiad i czy ma koronę?

— A ja, czy zna królów i królową?

I poszliśmy do domu.

Na podwieczorek Eliza usmażyła grzanki z galaretką.

— Są wyśmienite. Pragnąłbym dać jej jedną — rzekł Noel z pełnymi ustami i westchnął przy tym.

Pewno myślał o swojej księżniczce.

Teraz Noel mówi o niej, że była piękna, jak dzień. Ale pamiętam dobrze, że nawet nie jest ładna.

VI. REDAKTORZY²⁹

Pomysł ten zawdzięczamy wujowi Alberta-z-przeciwka. Powiedział nam, że bandytyzm nie jest tak popłatnym zajęciem, jak dziennikarstwo. Projekt wydawania pisma przypadł nam do gustu, zwłaszcza, że poprzednio już sprzedaliśmy poezje Noela i informacje o lordzie Tottenham.

Dora chciała być redaktorem i Oswald także, ale ustąpił jej, bo jest dziewczyną i — mądry głupiemu ustępuje.

²⁹*Redaktorzy* — pomiędzy rozdziałami *Księżniczka Noela* (*Noel's Princess*) a *Redaktorzy* (*Being Editors*) w wersji angielskiej znajduje się pominięty w tłumaczeniu Haliny Jel rozdział *Bandyty* (*Being Bandits*). Został on jednak streszczony w wypowiedzi Ali w rozdziale *O.D.*: Ale myśmy złapali tylko Alberta-z-przeciwka... [przypis edytorski]

Stanowisko redaktora wymagało tyle czasu i pracy, a zwłaszcza przepisywanie „na czysto” było tak nudne, że Dora wkrótce zapragnęła podzielić się ze mną trudami i tytułem.

Wuja Alberta-z-przeciwka mianowaliśmy naczelnym wydawcą pisma. Przepisał na maszynie kilka egzemplarzy, które posłaliśmy naszym znajomym. Ale nikt nie zaabonował³⁰ „Prze-
glądu z Lewisham”.

Tę nazwę nosił tygodnik: „Przeгляд” na pamiątkę miłego redaktora, „Lewisham”, bo tak się nazywa nasze miasto rodzinne. Przekonany jestem, że sam potrafiłbym napisać o wiele ciekawsze artykuły od moich współpracowników, ale nie wypadało, ażeby redaktor pisał zbyt wiele.

Nie uwierzycie, ile czasu zajęło nam wydanie pierwszego numeru. A oto pismo:

PRZEGLĄD LEWISHAM
Redaktorzy: Dora i Oswald Bastabel.
SŁOWO WSTĘPNE

³⁰zaabonować — zaprenumerować. [przypis edytorski]

Każde pismo istnieje w pewnym celu. My pragniemy pieniędzy. Jeżeli uszczęśliwimy jakieś smutne serce, okaże się, że nie pracowaliśmy daremnie. Wielu redaktorów zadowala się ulgą, którą niosą strapionym. Ale nam zależy i na pieniądzach.

Redaktorzy

Będą dwie powieści³¹: jedna napisana przez nas wszystkich razem, druga przez Dicka.

POWIEŚĆ

(przez nas wszystkich)

Rozdział I. przez Dorę

Krwawo zachodzące słońce rzucało ostatnie swe blaski, kryjąc się za wzgórze.

³¹*Będą dwie powieści* — w polskim tłumaczeniu znalazła się tylko jedna z nich. Ponadto w angielskiej wersji pismo stworzone przez rodzeństwo składało się z jeszcze kilku krótkich kolumn, m.in.: ciekawostek naukowych, poezji (w tym wspomnianego wcześniej *Wraku Malabaru*, tj. *Strachów Malabaru*), odpowiedzi na własne listy i porad ogrodniczych. Niedokończona powieść Dicka nosiła tytuł: *Sam Redfern, czyli pogrzeb zbrojcy* (*Sam Redfern, or the Bush Ranger's Burial*). [przypis edytorski]

Dwaj podróżni, jeden starszy, a drugi w kwiecie wieku, stanęli u stóp wspaniałego zamczyska.

W zamczysku tym piękna Alicja czekała na swoich wybawców. Ujrzawszy ich, wychyliła się z wieży i smutnie pokiwała ręką. Obaj mężczyźni pokłonili się z szacunkiem i udali się do hotelu, bo byli zmęczeni podróżą.

Rozdział II. przez Alę

Księżniczka była bardzo nieszczęśliwa. Czarownica, która ją zamknęła w baszcie zamkowej, kazała jej co dzień złapać białą myszkę. Ale księżniczka wyłapała wszystkie myszy, jakie się znajdowały w zamku. Zawołała srebrnego gołąbka i kazała mu pofrunąć do cudzoziemców i... (bardzo nam przykro, ale nie ma miejsca na dłuższe rozdziały. Red.).

Rozdział III. przez wydawcę

(Nie umiem, nie, doprawdy nie potrafię napisać powieści).

Rozdział IV. przez Dicka

Wracam w krainę przeszłości i opowiem wam o naszym bohaterze. Chodził do szkoły, w której na obiad dawali indyki i gęsi, a nie cielęcinę lub baraninę. Na deser dostawał dzień w dzień lody i tort, zjadał nie jedną, ale dwie porcje. Dlatego też wyrósł na wielkiego i mocnego mężczyznę. Tak, tak, dzięki dobremu odżywianiu i temu, że się nie uczył historii, geografii, chemii ani mineralogii, pobił czerwono-skórych Indian i został bohaterem tej oto powieści.

Rozdział V. przez Noela

Najwyższy czas, ażeby się coś zdarzyło w naszej powieści. Przyszedł smok, ziejący ogniem i dymem, stanął i ryknął:
Chodź, chodź, zbliż się tu,
To cię żywcem, co tchu
Rozszarpie cię na kawały
Obiad będzie doskonały.

Bohater, któremu na imię Nabuhadonorozizus³², odpowiedział:

Ręka ma silna i miecz mam u boku,
Więc nie ulęknię się ciebie, o smoku!
Już nie takiego potwora widziałem,
Więszych od ciebie smoków uśmierca-
łem.

(Noelu, za wiele poezji! Sprawiasz tym przykrość tym, którzy nie umieją wierszować).

Więc nastąpiła walka. Rycerz zabił potwora i poślubił księżniczkę. Żyli — (Nie, nie żyli aż do ostatniego rozdziału).

Rozdział VI. przez H. O.

To jest śliczna historia. Ale co się stało z myszami? Nie przychodzi mi nic na myśl. Niech Dora resztę napisze.

Rozdział VII. przez redaktorów

Po śmierci smoka znalazło się mnóstwo myszy. Okazało się bowiem, że smok zjadał je na podwieczorek. Myszy było tak

³²*Nabuhadonorozizus* — w oryginale: *Noeloninuris*. [przypis edytorski]

wiele, że stały się nieszczęściem królestwa. Zjadały zboże i cukier, i czekoladki. Więc Alicja, która była też księżniczką, oznajmiła, że zostanie żoną tego, który wytepi myszy. Rycerz, którego prawdziwe imię nie zaczynało się na N, ale brzmiało Orsawaldo, włożył magiczny pierścionek i przywołał do życia smoka, któremu kazał zjeść wszystkie myszy. Smok uczynił to, a rycerz poślubił księżniczkę. Żyli długo i kochali się bardzo.

(A co się stało z drugim cudzoziemcem? Noel).

(Smok pożarł go, bo zadawał za wiele pytań. Red.).

VII. O. D.

Położenie materialne przedstawiało się nie najweselej. Większą część pieniędzy wydaliśmy na urodziny ojca. Kupiliśmy mu śliczny przycisk na biurko z widokiem ratusza w Lewisham, piękną skórzaną tekę, pudełko osmażanych owo-

ców i obsadkę³³ z kości słoniowej. Ojciec był niesłuchanie rad z tych wszystkich prezentów i dziwił się, skąd mieliśmy pieniądze na ich kupno. Gdy zaś dowiedział się, jak zarobiliśmy je, zdumiał się i ucieszył jeszcze bardziej. Resztę pieniędzy wydaliśmy na ognie bengalskie³⁴, które bardzo drogo kosztowały, chociaż przyjemność trwała krótko. Należało zatem pomyśleć o przyszłości.

— Jakże przywrócić majątek rodzinny? — rzekł Oswald. — Próbowaliśmy wszystkich niemal sposobów: i kopania, i pisania, i księżniczki, i dziennikarstwa.

— I bandytyzmu — dodał H. O.

— Kiedyż to? — zapytała Dora marszcząc brwi. — Wszak już wam mówiłam, że bandytyzm jest zajęciem nieuczciwym.

— Ale myśmy złapali tylko Alberta-z-przeciwka; uwięziliśmy go w psiej budzie i H. O. (bo to był jego pomysł) napisał krwią z serdecznego palca list do wuja Alberta-z-przeciwka,

³³*obsadka* — element służący do mocowania stalówki na piórze. [przypis edytorski]

³⁴*ognie bengalskie* — fajerwerki, sztuczne ognie. [przypis edytorski]

że może wykupić swojego siostrzeńca za milion, ale puściliśmy go darmo, bo to była tylko zabawa — tłumaczyła długo i szeroko Ala.

Dick, który siedział pochylony nad gazetą ojca i pilnie ją studiował, podniósł głowę i rzekł:

— Posłuchajcie, to coś dla nas.

— „Poszukuje się współnika, z kapitałem 3000 szylingów, do interesu patentowego. Zysk pewien: 300 szylingów miesięcznie. Współpraca osobista zbyteczna”.

— Dobrze by było, gdybyśmy mogli przystąpić do tej spółki — rzekł Oswald.

Ala malowała wróżkę w zielonej szacie, ale farby wodne rozlały się po całym kajecie i weszły wróżce na nos. Więc rzekła:

— Przeklęta farba. Nie ma co myśleć o tym, Oswaldzie. Skąd weźmiesz 3000 szylingów?

A Oswald kombinował dalej:

— 300 szylingów miesięcznie to na nas, jako współników, przypadałoby po 150.

Noel nic nie mówił, tylko ssał ołówek, widocznie miał zamiar pisać poezje. W ogóle od poznania księżniczki tęsknił za nią i ciągle chciał chodzić do parku.

Czyniliśmy zadość jego życzeniu, ale furтка była zawsze zamknięta, byliśmy o tym z góry przekonani, tylko Noel łudził się i martwił za każdym razem.

Nagle Noel rzekł:

— Pragnąłbym, by wróżka zeszła komi-nem i położyła na stole brylant wartości trzech tysięcy szylingów.

— Mogłaby również dobrze położyć trzy tysiące na stole — odpowiedziała Dora.

— Mogłaby zamiast tego dawać nam trzy-sta szylingów tygodniowo — rzekłem.

— Albo trzy tysiące — powiedział Dick.

— Albo trzydzieści tysięcy — zawołała Ala.

Już H. O. otwierał usta, by powiedzieć trzy miliony, więc odezwałem się sam:

— Nie przyjdzie żadna wróżka i nic nam nie da. Tylko ratując jakiegoś bogacza od śmiertelnego niebezpieczeństwa, możemy dojść do

majątku! Wynagrodziłby nas worem złota, mogliśmy przystąpić do spółki i zarabiać 150 szylingów miesięcznie.

— Boże! co byśmy zrobili z tyloma pieniędzmi!

Wtedy Dick:

— Czemuż by nie pożyczyć tych pieniędzy?

— Ciekaw jestem, kto nam da.

I znowu Dick przeczytał:

— „Pożyczki pieniężne. *Bank przyszłości* pana Z. Rosenbauma³⁵. Pożyczam sumy pieniężne od 100 do 100 tysięcy szylingów. Panie i panowie mogą liczyć na pewną dyskrecję. Osobisty podpis wystarcza.”

— Co to znaczy? — spytał H. O.

— To znaczy, że jest jakiś dobry człowiek, który ma mnóstwo pieniędzy i szuka biednych, którym by mógł przyjść z pomocą, pożyczając

³⁵*Rosenbaum* — przywrócono oryginalną pisownię; w wydaniu źródłowym niekonsekwentnie, w tym rozdziale: Rosenblum i Rozenblum, w ostatnim: Rosenbaum. [przypis edytorski]

pieniądze. Prawda, Dicku? — powiedziała Dora.

— Naturalnie — potwierdził Dick.

H. O. rzekł, że pan Rosenbaum jest ogólnym dobroczyńcą.

— Dziwię się — powiedział Dick — że ojciec nie zwrócił się jeszcze do niego po pożyczkę.

— A może — rzekła Dora.

— Nie, nie uczynił tego na pewno, bo byśmy dostali od niego jakieś upominki.

Tymczasem Rex wskoczył na stół. Przewrócił farby, którymi malowała Ala. Dora pobiegła po ścierkę. H. O. umalował twarz i rękę zieloną farbą i bawiliśmy się, że jest chory na dzumę, a ja byłem magikiem arabskim i odczyniałem chorobę.

Potem był obiad, podczas którego naradzaaliśmy się, kiedy pójdziemy do Ogólnego Dobroczyńcy. Naturalnie wszyscy chcieliśmy iść do niego.

Może by O. D. (tak skróciliśmy Ogólny Dobroczyńca) był niezadowolony, gdyby nas przyszło sześcioro.

Zauważyłem nieraz, że ludzie mieli nam za złe, że jest nas aż sześcioro. Jeżeli nie jest zbyt wiele sześć par pończoch, sześć funtów jabłek albo sześć pomarańczy, to dlaczego sześcioro dzieci miałyby być za dużo?

Naturalnie Dick miał pójść, bo to był jego pomysł.

Dora woląca pojechać w odwiedziny do starej ciotki. Ala uważała siebie za niezbędną, bo w ogłoszeniu było napisane: „panie i panowie”. A może O. D. nie zechciałby nam pożyczyć pieniędzy, gdyby nie było chociaż jednej pani.

H. O. powiedział, że Ala nie jest żadną panią.

Na to ona:

— A ty zostaniesz w każdym razie, bo jesteś smykem!

— Gęś, jędza, czarownica!

I Ala się rozbeczała. Dora znowu musiała godzić rodzeństwo. Stało na tym, że Noel

pojedzie z Dorą do ciotki, a my zabierzemy H. O., który się tego gwałtownie napierał.

Początkowo chcieliśmy włożyć najstarsze ubrania, podrzeć je jeszcze bardziej i wstawić różnokolorowe łaty, ażeby pokazać O. D., jak bardzo potrzebujemy pieniędzy.

Ale Dora powiedziała, że byłoby nieuczciwym udawać biedniejszych, niż jesteśmy w rzeczywistości. A Dora, mimo że jest najstarszą siostrą, miewa rację czasami.

Chcieliśmy więc włożyć najlepsze, niedzielne ubrania, ażeby O. D. nie pomyślał, że jesteśmy bardzo biedni i nie będziemy w stanie oddać zaciągniętego długu. I temu sprzeciwiła się Dora.

Stało się więc na tym, że postąpimy zupełnie uczciwie i pójdziemy tak, jak stoimy, nie umywszy rąk ani twarzy. Gdy jednak w pociągu spojrzałem na twarz H. O., pożałowałem, że nie był mniej uczciwy. Każdy z was wie, jak się odbywa jazda pociągiem, więc nic nie opowiem o niej, chociaż było bardzo wesoło, zwłaszcza,

gdy kontroler przyszedł sprawdzać bilety, a H. O. schował się pod ławkę i udawał psa.

W Londynie poszliśmy przed pałac królewski obejrzeć paradę; potem wstąpiliśmy na wodę sodową z sokiem, a następnie udaliśmy się na wskazaną ulicę.

Chcieliśmy wejść do sklepu, nad którym wisiał szyld:

„Bank przyszłości — zamknięte”. Zadzwo-
niłem. Jakiś chłopak otworzył i spojrzął na nas
spode łba. Zapytaliśmy, czy jest pan Rosen-
baum i Dick podał kartę wizytową. Była to wła-
ściwie karta ojca, ale Dick nosi to samo imię.

Chłopiec kazał czekać i zatrzaskał nam drzwi
przed nosem.

Po chwili wrócił i spytał, jaki mamy inte-
res?

— Pożyczka pieniężna!!! — krzyknął Dick.
— Śpiesz się i nie każ nam tu czekać do sąd-
nego dnia.

Chłopak trzasnął drzwiami, nogi nam ze-
sztywniały od długiego stania, a H. O. przy-

siadł na stopniach i już miał rozplakać się z nudów, gdy chłopak otworzył drzwi i rzekł:

— Chodźcie, pan Rosenbaum chce się z wami zobaczyć.

Wytarliśmy nogi o słomiankę i nie splualiśmy na podłogę nie dlatego, że to było napisane dużymi czerwonymi literami, ale sami wiemy, jak się zachować u obcych.

Przez korytarz wyłożony czerwonym chodnikiem wprowadził nas chłopak do dużego pięknego pokoju.

— Szkoda, że nie włożyliśmy naszych najlepszych ubrań, a przynajmniej, że nie umyliśmy się — pomyślał Oswald, ale już było za późno.

W pokoju znajdowały się aksamitne portiery i miękkie, różnobarwne dywany. Na olbrzymim biurku stały złote kandelabry, kryształowe wazony, figury z porcelany i marmuru.

Na ścianach wisiały świeczniki i obrazy.

Jeden zwłaszcza podobał mi się nadzwyczajnie! Przedstawiał głowę kapusty, indyka i martwego zająca. Dałbym wszystkie zabawki za ten

jeden obraz. Mógłbym nań patrzeć calutkie życie i zdaje mi się, żeby mi się nigdy nie znudził ten zajac, który wyglądał, jak żywy. Ali podobał się najbardziej obraz, na którym namalowana była dziewczyna ze stłuczonym dzbankiem.

Pośrodku tego imponującego pokoju stał staruszek z siwiuteńką brodą, w czarnym tuzurku³⁶. Nos miał zakrzywiony, jak u orła. Przez złote okulary przyglądał się nam bacznie i dokładnie.

Wchodząc, powiedzieliśmy gremialnie „Dzień dobry!” i zastanawialiśmy się, od czego zacząć rozmowę, gdy H. O. odezwał się.

— Czy pan jest O. D.?

— Czym? — spytał staruszek.

— No, czy pan jest O. D.? — powtórzył H. O.

Kiwnąłem ręką, ażeby przestał, ale tylko starszy pan zauważył mój ruch i pogroził mi palcem.

³⁶*tuzurek* — rodzaj długiej marynarki, uszytej z ciemnej wełny i z aksamitnym kołnierzem. Popularny na przełomie XIX i XX wieku. [przypis edytorski]

— Zamiast Ogólny Dobroczyńca, mówimy O. D.

Starszy pan zmarszczył czoło.

— Czy ojciec was tu przysłał? — spytał.

— Ależ nie — powiedział Dick — skądże?

Staruszek pokazał nam kartę wizytową, więc mu wytłumaczyliśmy, że Dick nosi imię ojca.

— A czy ojciec wie, żeście tu przyszli?

— Nie wie i nie dowie się, póki nasz interes nie przyjdzie do skutku — rzekła Ala. — Ojciec ma sam dosyć zmartwień i kłopotów ze swoimi interesami, dowie się o naszych, gdy będziemy mogli podzielić się z nim zyskiem.

Starszy pan zdjął okulary; ręką pogładził brodę i spytał:

— Co was sprowadza do mnie?

— Przeczytaliśmy pańskie ogłoszenie — mówił Dick — a że potrzebujemy trzy tysiące szylingów, przyszliśmy do pana. Wzięliśmy siostrę ze sobą, bo podobno pan pożyczka paniom i panom razem.

— A na cóż wam te pieniądze?

— Mamy zamiar przystąpić do spółki, w interesie patentowym, zysk pewien. 300 szylingów miesięcznie. Osobista współpraca zbyteczna — recytował Dick ogłoszenie, którego się nauczył na pamięć.

— Zdaje mi się, że was nie bardzo rozumiem — rzekł O. D. — Zanim jednak przystąpimy do rozpatrzenia tej sprawy, powiedzcie, proszę, czemu nazwaliście mnie Ogólnym Dobroczyńcą?

— Bo widzi pan — zaczęła Ala, uśmiechając się, jak gdyby się nic a nic nie bała — sądzimy, że to bardzo pięknie z pańskiej strony szukać biednych i starać się im przychodzić z pomocą, pożyczając pieniądze od stu do stu tysięcy szylingów. „Panie i panowie mogą liczyć na dyskrecję. Osobisty podpis wystarcza”.

Wypieki wystąpiły jej na twarzy i spojrzała na nas z triumfem, ponieważ także nauczyła się ogłoszenia.

— Hm — rzekł O. D. — siadajcie.

I wskazał nam krzesła o złożonych nogach i pluszowych obiciach. Noel powiedziała by pewno, że są to trony królewskie.

— A teraz powiedzcie, czemu zamiast myśleć o interesach pieniężnych, nie uczęszczacie do szkoły?

Więc mu wytłumaczyliśmy, że pójdziemy do szkoły, gdy ojciec będzie miał pieniądze. Powiedzieliśmy mu też, że warunki materialne Bastablów pogorszyły się ostatnimi czasy, ale że jesteśmy na drodze do majątku, wchodząc w spółkę z właścicielem patentów. O. D. zadawał nam mnóstwo pytań; wreszcie wrócił do tematu pożyczki.

— A więc chcecie pieniędzy. Kiedyż mi je zwrócicie?

— Jak tylko będziemy mieli.

O. D. zwrócił się do Oswalda:

— Zdaje się, że jesteś najstarszym?

Odpowiedziałem, że żadnej to nie gra roli, bo pomysł był Dicka.

Więc rzekł do niego:

— Czy jesteś pełnoletnim³⁷?

— Nie, ale będę za dziesięć lat.

— Może wtedy unieważnisz swój dług.

— Co? — spytał Dick z głupią miną (mógłby grzecznie powiedzieć: przepraszam, nie rozumiałem, może pan zechce powtórzyć — jak by zapytał Oswald).

— Długu, który zaciągnąłeś jako dziecko, mógłbyś potem nie zechcieć zapłacić; i prawo przyznałoby ci rację.

— Jeżeli pan myśli, że byłbym takim oszustem... — i zerwał się oburzony.

— Siadajże, chłopcze! Przecież żartowałem — powiedział O. D. i poczęstował nas kwaśnymi cukierkami.

— Nie radzę wam, ażebyście przystępowali do tego interesu. To jest najzwyczajniejsze oszustwo. W ogóle nie radzę wam wierzyć wszystkim ogłoszeniom w gazetach. Nie mam przy sobie trzech tysięcy, ale mogę pożyczyć wam 15 szylingów, a jak będziesz pełnoletni — zwrócił się do Dicka — oddasz mi.

³⁷pełnoletność — tu: dwadzieścia jeden lat. [przypis edytorski]

— Mam nadzieję, że znacznie wcześniej — rzekł Dick. — A ten podpis?

— Najzupełniej zbyteczny — powiedział O. D. — między ludźmi honoru słowo wystarczy.

Potem wręczył Dickowi piętnaście szylingów, a Ali śliczny flakon perfum. Odprowadził nas przed dom, posłał po dorożkę, zapłacił dorożkarzowi z góry i kazał nas odwieźć na dworzec. Podał nam rękę na pożegnanie, a Alę poprosił o całusa, H. O. chciał go także uściskać, ale powstrzymałem go od tego, bo miał twarz wyjątkowo brudną!

VIII. LORD TOTTENHAM

Przez dłuższy czas byliśmy bardzo szczęśliwi i zadowoleni. Posiadając owe piętnaście szylingów, mieliśmy wrażenie, że majątek został rzeczywiście nam przywrócony. Bo, póki mieliśmy pieniądze na drobne wydatki, nie odczuwaliśmy żadnych innych braków. Przypuszczam, że dzieci, które stale otrzymują pieniądze na drob-

ne wydatki, nigdy by nie wpadły na pomysł szukania skarbu. Jest to więc naszym szczęściem w nieszczęściu, jak powiedział kiedyś wuj Alberta-z-przeciwka.

Gdy z piętnastu szylingów pozostało kilka pensów, trzeba się było zabrać ponownie do poszukiwania skarbu.

Przyszła kolej na wykonanie pomysłu Oswalda.

Rodzeństwo odnosiło się nader nieprzychylnie do jego projektów i nie chciało wziąć udziału w ich wykonaniu, ale Oswald wiedział, że prawdziwy bohater musi liczyć tylko na siebie i nie zrażał się niczym. Oswald wierzył, że opowieści drukowane w książkach głoszą prawdę i że jedyną drogą do wielkiej fortuny jest wyratowanie starego bogacza od grożącego mu niebezpieczeństwa. Wtedy bogacz adoptuje swojego wybawcę, a jeżeli ten nie chce zmienić ojca, wynagradza go w jakiś inny sposób.

W niejednej książce czytał Oswald o podobnych wypadkach. Raz mały chłopczyk pomógł jakiemuś kalece wysiąść z pociągu; oka-

zało się potem, że był milionerem, polubił chłopczyka i dał mu samochód.

Kiedy indziej znowu jakiś pan zgubił portfel, który znalazł mały chłopczyk i oddał właścicielowi, a ten był wielkim generałem i zaadoptował dobrego i uczciwego znalazcę. Różnych historii w tym rodzaju naczytał się Oswald i wierzył im.

Ale reszta rodzeństwa odnosiła się z niedowierzaniem do tych pomysłów. Mówili, że należałoby najpierw narazić kogoś na śmiertelne niebezpieczeństwo, a następnie dopiero wyratować.

Wobec tego Oswald postanowił sam wypróbować kilka łatwiejszych sposobów. Stawał na przystankach tramwajowych i pomagał wychodzić panom z siwymi brodami. Nikt mu nie był wdzięczny za to, tylko go kilkakrotnie zwymsłano.

Następnie jakiś pan upuścił na ulicy sztukę³⁸ dwuszylingową. Oswald podniósł ją i namyslał się, z jakimi słowami zwrócić ją wła-

³⁸*sztuka* — tu: moneta. [przypis edytorski]

ścicielowi, gdy ów pan złapał Oswalda za kołnierz i nazwał złodziejem. Spotkałaby go niezawodnie jeszcze większa przykrość, gdyby nie to, że policjant z rogu był dobrym znajomym Oswalda. Pan przeprosił Oswalda za posądzenie, chciał mu nawet dać sześć pensów, ale Oswald odwrócił się z godnością i poszedł do domu.

Samodzielne poszukiwania Oswalda nie doprowadziły do żadnego celu, rzekł więc do rodzeństwa:

— Tracimy czas! Zróbmy coś!

Było to podczas obiadu. Rex chodził dookoła stołu i zjadał resztki z podłogi, a było ich mnóstwo, bo mieliśmy na obiad baraninę na zimno (której nikt nie lubi).

— Należałoby wykonać pomysł Oswalda — powiedziała Ala — on brał udział w poszukiwaniach skarbu, dlaczegóż nie mielibyśmy uratować lorda Tottenhama.

Lord Totenham jest tym dziwakiem, który codziennie odbywa spacery za miasto, a o trzeciej po południu wchodzi na wzgórze, zdejmuje

brudny kołnierzyk, rzuca go w krzaki, wyjmując z kieszeni świeży i zakłada go.

— Lord Totenham — zastanowił się Dick — to niezła myśl. Ale gdzież jest śmiertelne niebezpieczeństwo? — I rzeczywiście nic nie groziło staremu lordowi.

— A może — rzekł Oswald — połowa nas zostanie zbójami i napadnie na lorda, a druga połowa obroni go.

Nikt się na to nie zgodził, bo prócz H. O. nikt nie chciał zostać zbójem.

— Gdyby tak Rex! — powiedziała Ala.

Zrozumieliśmy wszyscy ten oryginalny pomysł.

Rex jest bardzo zmyślnym stworzeniem i zna niejedną sztukę. Nie zdołaliśmy wprawdzie nauczyć go chodzenia na dwóch łapach, ale jeżeli mu szepnąć „łapać!”, to w tej chwili rzuca się na wskazaną osobę.

Zdecydowaliśmy się na to wszyscy prócz Dory, która powiedziała, że jest to głupia zabawa i że nas może spotkać wielka nieprzyjem-

ność. Wzięła ostentacyjnie książkę i poszła do jadalni.

Ułożyliśmy plan zasadzki: Rex, Ala i H. O. ukryją się w krzakach za wzgórzem, a w chwili, gdy lord Tottenham zmieniać będzie kołnierz, szepną Rexowi „łapaj”. Rex złapie lorda Tottenhama, a Oswald, Dick i Noel rzucą się na Rexa i uratują lorda Tottenhama od śmiertelnego niebezpieczeństwa. Stary lord powie: „Jakże się wam odwdzięczę, młodociani obrońcy”. No i wszystko się pięknie skończy.

Poszliśmy za miasto. Dzień był przykry i dżdżysty. Rexa, Alę i H. O. ukryliśmy w krzakach. Rex i Ala zachowywali się spokojnie, ale H. O. zamoczył sobie kolana, nogi bolały go od klęczenia, chciał wyjść z krzaków i biegać po łące, zanim pojawi się lord Tottenham. Powiedziałem mu, że prawdziwy Spartanin³⁹ powinien znosić głód i chłód. Nareszcie ukazał się lord Tottenham.

Rzekliśmy Ali:

³⁹*Spartanin* — mieszkaniec starożytnego miasta Sparta; Spartaninie słynęli z surowego trybu życia. [przypis edytorski]

— Tsss! zbliża się — a sami odeszliśmy z wolna, pogwizdując sobie, ażeby lord Tottenham nie mógł posądzić nas o jakieś złe zamiary. Tymczasem lord Tottenham zbliżał się. Mijając nas, rzekł:

— Biada ojczyźnie, która...

Obejrzeliśmy się, lord wszedł na wzgórze, stanął obok miejsca, w którym byli ukryci Ala, H. O. i Rex, zaczął odpinać kołnierzyk.

Naraz usłyszeliśmy warczenie Rexa, a po chwili Rex szarpał lorda za spodnie, szczekając donośnie.

Lord rzucił się do ucieczki, pies za nim. Nagle Lord zawołał: „ratunku! ratunku!” (zupełnie, jak gdyby go ktoś nauczył) i zaczął rozpaczliwie wymachiwać rękami.

Dogoniliśmy go w jednej chwili wołając:

— Dicku, uratujmy tego poczciwego, starego człowieka!

Lord Tottenham krzyknął gniewnie:

— Poczciwego starego człowieka! Złapcie tego psa!

— To i dla nas jest niebezpieczne — powiedział Oswald z godnością — ale któż będzie się wahał w takiej chwili, któż nie okaże odwagi!

A Rex nie puszczał lorda, ciągnął go za spodnie, rwał je i warczał.

Więc Noel krzyknął:

— Spieszcie się, bo może być za późno!

Złapałem Rexa za kark, szepnąłem „puszczaj” i Rex puścił.

Lord Tottenham poprawił sobie kołnierz, odetchnął, ręką pogładził włosy, nasunął kapelusz i powiedział.

— Wdzięczny wam jestem, żeście mnie uwolnili od tego przebrzydłego zwierzęcia. Wypijcie za moje zdrowie.

Dick powiedział, że nie wolno nam pić nawet za zdrowie lorda Tottenhamama.

— Jestem wam wdzięczny, moje dzieci, i cieszę się, że nie mam do czynienia z ulicznikami, ale z porządnymi dziećmi. Mimo to, możecie przyjąć coś od nowego przyjaciela — i wyjął z kieszeni portmonetkę, a z portmonetki zło-

tą monetę. Zrobiło mi się nad wyraz przykro i głupio. Po strachu, którego napędziliśmy lordowi, nie można było w żadnym razie przyjąć jego pieniędzy. W dodatku nie mówił nic o adoptowaniu nas. Byłem w prawdziwym kłopotcie. Puściłem Rexa, chciałem pożegnać się z lordem Tottenhamem i powiedzieć mu, że nie chcemy żadnego wynagrodzenia, gdy najnieoczekiwanej w świecie pies popsuł nam wszystko. Rex, puszczony przeze mnie, zaczął skakać koło nas, wymachiwać ogonem, łasić się i lizać ręce. Był dumny z siebie.

Lord Tottenham otworzył szeroko oczy i rzekł:

— Zdaje mi się, że ten pies jest waszym dobrym znajomym.

Wtedy Oswald poczuł, że wszystko stracone i szybko powiedział:

— Do widzenia.

Chcieliśmy odejść.

— Nie tak pośpiesznie! — krzyknął lord i schwycił Noela za kołnierz.

Noel wrzasnął i Ala wybiegła z krzaków. Nie wiemy właściwie czemu, ale Noel jest jej ulubieńcem.

Lord Tottenham spojrział na nią i rzekł:

— Zdaje mi się, że jest was więcej?

Wtedy H. O. wyszedł z krzaków.

— I ty należysz do tego towarzystwa? — zwrócił się do H. O., który mu powiedział, że jest nas tym razem tylko pięcioro. Lord Tottenham spojrział na nas surowo i zaczął iść coraz szybciej, prowadząc Noela za kołnierz.

Szliśmy za nim, a Dick, najodważniejszy, spytał, dokąd nas prowadzi.

— Do więzienia! — odrzekł.

— Dobrze, ale niech pan nie bierze Noela, bo on jest delikatny i łatwo się męczy. Zresztą to nie jego wina. Jeżeli pan chce wziąć któregoś z nas do więzienia, to tylko mnie, bo to był mój pomysł.

A Dick (porządny chłopak) dodał:

— Jeżeli pan Oswalda zabierze, to i ja pójdę z nim do więzienia. Tylko Noela niech pan puści, bo on słaby!

Lord Tottenham przystanął i rzekł:

— Należało wcześniej pomyśleć o tym!

Noel drżał na całym ciele i pobladł okropnie. Ala jąła prosić lorda:

— Ładny, miły, kochany lordzie! Niech go pan puści, bo on zaraz zemdleje. Jakże żałuję, żeśmy to zrobili. A Dora uprzedzała nas, że to się źle skończy.

— Widzę, że Dora miała nieco zdrowego rozsądku — rzekł lord Tottenham i puścił Noela. Ala przytuliła go do siebie i zaczęła mu rozcierać ręce i twarz, bo drżał i blady był jak papier.

Wtedy lord Tottenham zapytał:

— Dacie mi słowo honoru, że nie uciekniecie?

— Tak!!!

— Więc chodźcie za mną. — Doszliśmy do ławki, na której usiadł lord Tottenham, a nas postawił przed sobą rzędem.

— Poszczuliście psa, a następnie staraliście się wmówić mi, żeście wyratowali mnie z niebezpieczeństwa. Chcieliście otrzymać wy-

nagrodzenie. Czyn wasz jest... No, powiedzcie sami, jak się na to zapatrujecie?

Powiedziałem, że czyn nasz był nieuczciwy, ale że pieniędzy nie wziąłbym w żadnym razie.

— W jakim celu zatem uczyniliście to? — zapytał zdziwiony lord. — Powiedzcie prawdę.

— Teraz widzę, że to był bardzo głupi pomysł i Dora też odradzała — mówił Oswald. — Ale myśmy pragnęli odbudować majątek rodzinny. Czytałem w książkach, że jeżeli się ratuje starszego mężczyznę od śmiertelnego niebezpieczeństwa, to ten adoptuje, a jeżeli dzieci nie chcą zmieniać ojca (co się także zdarza), to daje im jakiś cenny skarb. A że nie było śmiertelnego niebezpieczeństwa, wzięliśmy Rexa i... i... — nie dokończyłem, bo zawstydzilem się strasznie.

— Piękny sposób dojścia do majątku — przez oszukaństwo i kawały — rzekł lord Tottenham — pomyślcie tylko, gdybym był słabszy, mógłbym być dostać ataku sercowego i umrzeć z przestachu.

Rozbeczeliśmy się wszyscy, prócz Oswalda. Reszta rodzeństwa utrzymywała, że i on płakał.

— Nie mówmy już o tym, widzę, że żałujecie swojego postępowania. I ja kiedyś byłem w waszym wieku.

Ala wpakowała mu się na kolana, objęła go za szyję.

— Bardzo pan jest dobry i poczciwy, że się już na nas nie gniewa. Przepraszamy pana. Chcieliśmy być jak te dzieci w książkach, ale nam się to nigdy nie udaje. Cokolwiek tamte robią, kończy się dobrze, a my mamy same zmartwienia. Oswald nie przyjąłby tych pieniędzy, ja go znam. I mnie zrobiło się tak przykro, gdy pan mówił o tym, że możemy przyjąć coś od nowego przyjaciela.

— Pamiętajcie, że ani dla pieniędzy, ani za żadne skarby na świecie, nie należy popełnić rzeczy nieuczciwej.

Zdjął kapelusz i odszedł, a myśmy wrócili do domu.

Dora powiedziała: „a mówiłam wam” i przyznaliśmy jej słuszność.

Przez cały tydzień nie chodziliśmy na wzgórze. Któregoś dnia udaliśmy się tam i usiedliśmy na ławce.

Gdy przechodził koło niej lord Tottenham, powstaliśmy, a Ala odezwała się:

— Dzień dobry panu. Za karę nie przychodziliśmy tu przez tydzień. Ale dzisiaj przynieśliśmy panu upominki, ażeby się pan przekonał, że chcemy naprawić błąd.

Lord Tottenham usiadł obok nas i wręczyliśmy mu nasze prezenty. Oswald dał mu kompas, który kupił za ostatnie sześć pensów. Oswald daje same pożyteczne prezenty. Wprawdzie igła w kompasie przestała się ruszać, ale lord Tottenham był kiedyś admirałem, więc potrafi ją sobie naprawić. Ala zrobiła szalik z różowej włóczki. H. O. dał mu swój scyzoryk, którym kiedyś obciął guziki przy ubraniu.

Dick ofiarował mu swoją nagrodę *Bohater gór i przepaści*⁴⁰, bo to była najładniejsza rzecz, którą posiadał.

⁴⁰*Bohater gór i przepaści* — najprawdopodobniej chodzi o nagrodę książkową. W wersji angielskiej mowa o *Naval Heroes. Sea Kings and Naval Heroes. A book for boys* to książka brytyjskiego pisarza Johna Georga Edgara (1834–1864), autora

Noel dał mu swój utwór, który specjalnie napisał.

— Kto popełnił ciężką winę,
Ma smutną, jak my, minę.
Lecz przyrzekamy, lordzie Tottenhamie.
Że się poprawi to postępowanie.

Lord ucieszył się bardzo, porozmawiał z nami chwilę i uściskał nas na pożegnanie.

Odtąd, ilekroć go spotykamy, wita się z nami, a gdy idziemy z dziewczętami, kłania się pięknie i zdejmuje kapelusz.

IX. CASTILLIAN AMOROSO

Pomimo przestróg O. D., Dick bezustannie szperał w gazetach i studiował ogłoszenia. Wierzył, że skorośmy w pismach znaleźli Ogólnego Dobroczyńcę i jego 15 szylingów — to może się nam znowu poszczęści.

Któregoś dnia przeczytaliśmy następujące ogłoszenie:

często piszącego literaturę przeznaczoną głównie dla chłopców. [przypis edytorski]

Każdy może zarobić dwadzieścia szylingów tygodniowo. Mały nakład pracy. Próba i instrukcje: 2 szylingi przysłać znakami pocztowymi.

A więc zebraliśmy nasze pieniądze, które nie przekraczały tej sumy, kupiliśmy marki pocztowe i włożyliśmy do listu, który napisał Dick — i H. O. poszedł list ten wrzucić do skrzynki własnoręcznie.

Nieskończenie długim wydał nam się czas, zanim otrzymaliśmy odpowiedź. Pięć razy dziennie zaczepialiśmy listonosza, pytając, czy nie przyniósł nam listu.

Ale dopiero na piąty dzień przyszła duża paczka z napisem „Ostrożnie! — Szkło”. Było to pudełko wypełnione trocinami; wewnątrz znajdowała się niewielka butelka z żółtym płynem.

Oswald pobiegł po korkociąg; ale minęła dobra chwila, zanim go znalazł; nie leżał w kredensie, na swoim miejscu, ale w szafie od bielizny.

Gdy wrócił, wszyscy już przeczytali napis na etykiecie i dołączonych kartkach.

— Zdaje się, że nie wypada sprzedawać wina — mówiła Dora — a zresztą któż z nas potrafi, przecież nigdy tego nie robiliśmy.

— I ja nie mam pojęcia — rzekła Ala — chyba to nie jest żadna sztuka.

Wszyscy siedzieli zamyśleni i ze spuszczo-
nymi głowami, więc Oswald zapytał, jakim sposobem będziemy zarabiać 20 szylingów tygodniowo.

— Widzisz — zaczął Dick — w tej butelce jest wino *Castillian Amoroso*. Trzeba znaleźć ludzi, którzy by skosztowali tego wina, trzeba, żeby im smakowało, i trzeba, by obstalowali⁴¹ u nas kilka butelek. Wtedy my napiszemy do fabryki *Castillian*, że tamci chcą wina, oni im pošlą, a za każdy tuzin obstalowanych butelek dostaniemy dwa szylingi. Jeżeli zatem będziemy sprzedawać po dziesięć butelek tygodniowo, to zarobek nasz stanowić będzie dwadzie-

⁴¹*obstalować* — tu: zamówić. [przypis edytorski]

ścia szylingów. Ale wątpię, czy sprzedamy aż tyle — skończył Dick.

— Może nie początkowo — powiedziała Ala — potem, gdy się wszyscy przekonają, jak smaczne i pożywne jest wino, zarabiać będziemy znacznie więcej.

— I dziesięć szylingów nam wystarczy. Prawda? — Oswald nie marzył nawet o większym zarobku. Dick wziął korkociąg i (jak zwykle), zamiast wydobyć korek, wepchnął go do butelki.

Dora przyniosła szklaneczkę do lekarstwa, tę z podziałką, powiedziała, że wszyscy skosztujemy, ale po odrobinie.

— Nikt nie dostanie więcej jak łyżkę stołową — mówiła, jak gdyby butelka należała do niej wyłącznie. (Ostatecznie miała największe prawo, bo dała całego szylinga, a my resztę).

Potem odmierzyła troszkę i sama zaczęła pić, bo jest najstarsza.

— Jak ci smakuje? — zawołaliśmy jednocześnie, ale Dora dopiero po chwili odpowiedziała nam.

— To jest podobne do lekarstwa, jakie pił Noel na wiosnę. Zresztą nie wiem, może wino powinno mieć taki smak.

Potem pił Oswald. Usta mu ścierpły, ale się słowem nie odezwał, czekał, co powie reszta, Dick krzyknął, że jest to obrzydliwe, Ala ustąpiła Noelowi swojej kolei. Noel powiedział, że jest to nektar godny królów, ale mimo to zrobił grymas i wypluł w chustkę. Zaś H. O. wypluł na środek pokoju. Musiał sprzątnąć i dostał od nas niezłe wymyślanie. Potem przyszła kolej na Alę.

Ala nie miała zbyt dużego zaufania, rzekła więc:

— Ja proszę o trzy krople; nie możemy wypić wszystkiego.

— Nie będę sprzedawać tego świństwa. — rzekł Dick. — To jest oszukaństwo. Kto chce, może sobie zabrać butelkę.

— Mnie ją dajcie — zawołała Ala — ja wiem, czego brak. Trzeba cukru.

Zrozumieliśmy od razu, że Ala, choć jest dziewczyną, wpada na genialną myśl. Ażeby nie robić nieporządku na stole, rozkruszyliśmy na

podłódze dwa kawałki cukru i wrzuciliśmy do szklaneczki.

Smak wina zmienił się nie do poznania. Nie było już ani zbyt kwaśne, ani zbyt gorzkie; raczej przeciwnie, zbyt słodkie.

— Smakuje bardzo, jeśli się przyzwyczaić — rzekł Dick.

Zdaje się, żałował, iż odstąpił butelkę Ali.

— Cukier był zakurzony, trzeba będzie rozkruszyć w czystym papierze, zanim wrzucimy do butelki.

I znowu Dora wyjechała ze swoją przesadną uczciwością.

— Będzie to oszukaństwo, jeżeli damy skosztować słodkie, a sprzedamy kwaśne wino.

— Każdemu kto obstaluje wino, z góry powiemy, że musi dorzucić kilka kawałków cukru — zdecydowała Ala.

Rozkruszyliśmy więc bardzo ostrożnie między gazetami osiem kawałków cukru i wrzuciliśmy do butelki. Potem zakorkowaliśmy ją kawałkiem czystego papieru, nie zaś kurierem, bo wiemy jak szkodliwą jest farba drukarska.

Daliśmy też Rexowi do skosztowania. Wiodocześnie mu nie smakowało, bo kichał przez pół godziny, a potem schował się pod łóżko.

— A kto zajmie się sprzedażą wina? — spytałem.

— Naturalnie, że ja — odpowiedziała Ala — każdemu kto przyjdzie do nas, zaproponuję kupno wina. A zresztą zobaczymy.

Elizie nie powiedzieliśmy o naszym nowym przedsięwzięciu, a to ona otworzyła drzwi kilku osobom, które przyszły do ojca. Nie zdołała więc Ala poprobować szczęścia z *Castillianem Amoroso*. Dopiero około piątej po południu poszła Eliza do swojej przyjaciółki, która miała jej uszyć suknię na niedzielę.

Po chwili usłyszeliśmy dzwonek. Ala pobiegła otworzyć. Usłyszeliśmy z naszego pokoju, jak mówiła:

— Niech pan będzie łaskaw, proszę wejść. A gruby męski głos odpowiedział.

— Czy ojciec w domu? Mam do niego interes.

— Niech pan pozwoli.

— Jest w domu. To dobrze.

I wytarł nogi o słomiankę, po czym wszedł. Był to rzeźnik, chociaż nie miał na sobie białego fartucha jak w sklepie. W ręku trzymał kopertę.

Ala wprowadziła go do jadalni, gdzie na stole była przygotowana butelka z *Castillianem Amorosom* i szklaneczka od lekarstw. Stanęliśmy wszyscy pod drzwiami, a Oswald zaglądał przez dziurkę od klucza.

— Niech pan spocznie — rzekła Ala ze sztucznym spokojem.

Rzeźnik usiadł i Ala nalała trochę wina do szklaneczki, a następnie zakorkowała butelkę tym samym kawałkiem papieru.

— Może panienska zechce poprosić ojca. Spiesz mi się — rzekł po chwili rzeźnik.

— Ojca nie ma w domu, ale przyjdzie za chwilę — powiedziała Ala i stanęła przed rzeźnikiem, nie odzywając się już ani słowa. Wyglądała dosyć głupio z zakłopotaną miną i odemkniętymi ustami, więc H. O., któremu ustąpiłem miejsce przy dziurce od klucza, roześmiał

się na głos. Podszedłem z tyłu i dałem mu szturchańca. H. O. pisnął. Rzeźnik nie słyszał tego wszystkiego. Ala zaś, ocknąwszy się, zaczęła mówić szybko i potoczyście, bo z góry ułożyła sobie całe przemówienie.

Umiała na pamięć etykietę *Castilliana*.

— ...pragnę zwrócić uwagę pańską na próbę wina, które niniejszym mam honor przedstawić szanownemu panu. Pod względem smaku i zapachu wytrzymuje konkurencję. Nie ustępuje w niczym starym winom węgierskim, reńskim i... — Ali zabrakło słów. — Czy pił pan już kiedyś *Castillian Amorososo*?

— Nie, nigdy nawet nie słyszałem o takim winie — odpowiedział rzeźnik.

— To może pan skosztuje?

— Owszem, bardzo chętnie.

Ala podała mu szlankę. Rzeźnik skosztował tylko i polizał wargi.

Czekaliśmy na „słowa zachwyty i uznania”, ale rzeźnik odstawił nietknięte wino (właliśmy je z powrotem do butelki) i powiedział:

— Czy to nie za słodkie, jak na wino?

— O, prawdziwe ma zupełnie inny smak, ale my nie lubimy kwaśnego wina, więc dodaliśmy osiem kawałów cukru. Tak bym chciała, żeby pan obstalował kilka butelek!

— Czemu? — spytał zdumiony rzeźnik.

Ala wahała się przez chwilę, a potem rzekła.

— Pan także ma interes, więc powiem. Szukamy ludzi, którzy by obstalowali u nas to wino, bo za każdy tuzin butelek dostaniemy dwa szylingi.

— Hm, hm — mruknął rzeźnik i spojrzał na dywan.

— Widzi pan — ciągnęła ośmielona już Ala — są powody, dla których musimy zarabiać.

— Tak, tak — powiedział rzeźnik, nie podnosząc oczu.

— Jak pan uważa? Czy prędko dojdziemy do majątku? Za próbną flaszkę *Castilliana* zapłaciliśmy dwa szylingi.

— Mam nadzieję, że panienka zarobi bardzo wiele.

— Tak? — ucieszyła się Ala — to może pan kupi?

— Owszem, *Castillian* jest moim ulubionym winem.

Ala chciała go znowu poczęstować.

— Nie, dziękuję, jest to doskonały napój, ale mi nie służy. Mam starego wujaszka, który bardzo lubi wino. Obstaluję dla niego na gwiazdkę pół tuzina butelek. Oto szyling, który się pani należy. — I wyjął z kieszeni nowiutki pieniądz.

— A ja myślałam, że płacą tylko fabrykanci — powiedziała Ala.

Rzeźnik rzekł jej na to, że nie dają nic za pół tuzina. Potem wstał, pożegnał się pośpiesznie i przeprosił, że nie może czekać na ojca, bo nie ma czasu. Ala znów go poczęstowała winem, lecz on szepnął:

— Za nic na świecie.

Ala z nowym szylingiem w ręku weszła triumfalnie do naszego pokoju.

Cały wieczór robiliśmy plany na przyszłość, która nam się zapowiadała tak pięknie i tak bogato!

Nikt nie zjawił się nazajutrz.

Na trzeci dzień przyszła jakaś pani z dobroczynności po ofiary na budowę domu dla sierot.

Weszliśmy z Alą do pokoju, a gdy jej wytłumaczyłem, że posiadamy tylko jeden szyling i ten jest nam niezbędny, Ala się odezwała.

— Może pani pozwoli wina?

— Dziękuję, bardzo dziękuję — powiedziała pani, choć minę miała nad wyraz zdumioną.

I daliśmy jej w ślicznym kieliszku łyżeczkę wina. Pani podniosła go do ust i z wielkim pośpiechem odstawiła. Zerwała się z kanapy i zawołała:

— Wstrętne dzieci! Obrzydliwe smarkacze! Takie kawały robicie starszym! A nie wstyd wam! Poczekajcie no! Napiszę do waszej mamy. Mogliście mnie otruć! Mama was ukarze!

— Przykro mi bardzo, że się pani nie poznała na winie. Rzeźnikowi smakowało. Mówił tylko, że jest za słodkie. A do mamy niech pani nie pisze, bo tatuś tak się martwi, gdy przychodzą listy do mamy — mówiła Ala, bliska płaczu.

— Co mówisz smarkata? Dlaczegoż to ojciec nie lubi, gdy przychodzą listy do mamy?

Ala zawołała:

— O, pani... — i wybiegła z płaczem.

Wtedy ja rzekłem:

— Nasza mama umarła i niech już pani idzie sobie!

A ona spojrzała na mnie zupełnie inaczej niż poprzednio.

— Jest mi bardzo przykro. Przepraszam was. Siostrzyczka twoja chciała jak najlepiej... Przepraszam was. — I wyciągnęła rękę.

Naturalnie, że po tym wszystkim nie mogłem jej proponować kupna wina. W każdym bądź razie była to niezła osoba. Opowiedziałem to Ali. Było nam jednak bardzo smutno. Gdy wróciłem do jadalni, pomyślałem, jak się od

śmierci mamy wszystko zmieniło — i ojciec, i my, i całe życie.

X. SZLACHETNOŚĆ OSWALDA

Dopiero na końcu tego rozdziału będzie mowa o szlachetności Oswalda. Posłuchajcie od początku. Zaczęło się, jak wszystko w tym czasie, od poszukiwania skarbu.

Z chwilą, gdy przyrzekliśmy ojcu nie przystępować do żadnego interesu, nie poradziwszy się go wprzód⁴², przestaliśmy w ogóle myśleć o interesach.

Mieliśmy wprowadzić mnóstwo wspaniałych projektów, ale brak pieniędzy stawał nam na przeszkodzie.

H. O. chciał założyć plantacje ryżu, kakao i cukru... ale wykonanie tego pomysłu było zbyt kosztowne. Z tych samych powodów nie mogliśmy urzeczywistnić doskonałego projek-

⁴²Z chwilą, gdy przyrzekliśmy ojcu nie przystępować do żadnego interesu, nie poradziwszy się go wprzód — w wersji oryginalnej nastąpiło to w pominiętej w polskim wydaniu źródłowym końcówce rozdziału *Castillian Amoroso*, gdy wieść o handlu winem doszła do ojca dzieci. [przypis edytorski]

tu Ali: mieliśmy ubrać Rexa w suknie lalki i chodzić z nim i z organkami po podwórzach. Ale Dick przeczytał (także w ogłoszeniach), że organy kościelne kosztują siedem tysięcy szylingów.

Bawiliśmy się w „bal” dla lalek. To jest ulubiona zabawa dziewczynek, zgodziliśmy się na nią pod warunkiem, że my, chłopcy, nie będziemy zmywać naczyń.

W chwili, gdy piliśmy na deser wodę z sokiem wyrobu Ali, rzekł Dick:

— Przypomina mi to...

— Co takiego? — zapytaliśmy wszyscy.

Odpowiedział nam zaraz, choć usta miał pełne chleba i soku. Nawet do najbliższych krewnych nie powinno się mówić z pełnymi ustami; nie należy także wycierać ust ręką, ale chustką, jeżeli się ją posiada. Ale Dick nie zwraca uwagi na nic!

— Pamiętajcie, powiedziałem wam kiedyś, że mam pomysł, ale nieskończony.

— Tak, tak.

— Otóż ten sok...

— Herbata dla lalek — szepnęła Ala.

— ...czy tam herbata, naprowadziła mnie na myśl.

Miał powiedzieć, na jaką myśl, gdy mu przerwałem:

— Skończmy ten obiad i zorganizujmy walne zebranie.

Dziewczęta zabrały się do zmywania naczyń, a myśmy wyciągnęli nasze flagi wojenne. Usadowiliśmy się dokoła kominka i Dick zaczął:

— Każdy pragnie posiąść pieniądze. Doświadczeni dochodzą do majątku; i ja już niejedno widziałem.

Tu przerwał i włożył fajkę do ust. Fajkę tę znaleźliśmy na ulicy. Kładziemy do niej zeschnięte liście i palimy kolejno. Dziewczętom nie dajemy fajki. Byłyby zanadto zarozumiałe, gdyby mogły robić to samo, co my, mężczyźni.

— Dicku, bez wstępów — rzekł zniecierpliwiony Oswald.

— Małe flaszeczki od lekarstw kosztują po pensie. H. O., jeżeli nie przestaniesz ziewać, to ci nic nie powiem i za karę nie dostaniesz

cukierków, które kupię za pierwsze zarobione pieniądze. I Noel tak samo.

— Noel nie ziewa! — zawołała Ala — przestań, H. O.

— No mów, Dicku, mów dalej.

— Tysiące lekarstw sprzedaje się w aptekach. Prawda? Czytałem sam w gazetach, że: „setki uleczonych osób dziękuje za itd.” A ludzie, którzy sprzedają lekarstwa, muszą mnóstwo zarabiać. Butelki są małe i jak już raz powiedziałem, kosztują po pensie.

— Tak, ale lekarstwa kosztują — rzekła Dora — karmelki od kaszlu są bardzo drogie.

— Bo są smaczne — odpowiedział Dick — ale świństwa, jak olej rycynowy na przykład, są znacznie tańsze. My zaś do naszych lekarstw nie potrzebujemy drogich rzeczy. A skoro wymyślimy jakieś lekarstwo, to podamy ogłoszenie do gazety. Ludzie będą nam przysyłać po dwa szylingi za małą, a po trzy i pół szylinga za większą flaszkę. Potem, gdy lekarstwo ich uzdrowi, napiszą, że przez lata całe cierpieli na daną chorobę i stracili już nadzieję wyzdrow-

wienia kiedykolwiek, ale balsam Bastabłowski uleczył ich. Listy te i fotografie przed i po chorobie będą pomieszczane w pismach.

Wszyscy bez wyjątku zgodziliśmy się na sprzedaż lekarstw — nie zauważyliśmy, że był to także rodzaj interesu. Wuj Alberta wytłumaczył nam to później.

W błędzie jesteście, kochani czytelnicy, jeżeli sobie wyobrażacie, że wynalezienie lekarstwa jest czymś łatwym.

Przede wszystkim nie mogliśmy się zdecydować, jakie choroby leczyć będziemy.

Dora pragnęła wynaleźć płyn udelikatniający i wybielający cerę, aleśmy jej przypomnieli, jakich to krost dostała i jak jej skóra poczerwieniała, gdy kupiła sobie mydło *Rosabella*, o którym czytaliśmy, że usuwa plamy, pryszczki, piegi i nadaje cerze kolor i delikatność brzośkwini. Noel chciał wynaleźć uniwersalny środek na wszystkie choroby. Oswald pragnął lekarstwa na rany i zdaje mi się, że to był najlepszy pomysł, ale i temu sprzeciwił się Dick:

— Skąd się wezmą ranni, gdy nie ma żadnej wojny? Nie sprzedawalibyśmy nawet jednej butelki dziennie.

H. O. chciał lekarstwa, które by się brało przed olejem rycynowym, rumbarbarum⁴³ i tranem, ażeby nie odczuwać nieprzyjemnego smaku. Wytłumaczyliśmy mu, że starsi w ogóle nie biorą ani tranu, ani rycyny, więc i takie lekarstwo byłoby zbyteczne. Nareszcie Dick powiedział, że jest mu wszystko jedno, jakie dolegliwości leczyć będziemy, tylko:

— Trzeba się zdecydować na coś i to jak najprędzej.

— To musi być coś najzwyczajniejszego — odezwała się Ala, która milczała dotychczas — ani podagra, ani bóle krzyża, ani tysiące podobnych chorób, na które się rzadko choruje. A jaka choroba jest najzwyczajniejsza?

— Przeziębienie — zawołaliśmy jednogłośnie.

I na tym stanęło.

⁴³*rumbarbarum* — rabarbar, rzewień; roślina o dużych liściach i jasnoczerwonej mięsistej łodydze, niektóre jej gatunki są jadalne (liście i łodygi). Występują też odmiany lecznicze (korzenie i kłącza). [przypis edytorski]

Napisaliśmy receptę, którą przylepiliśmy do butelki.

Oto recepta:

„Bastable. Jedyne lekarstwo przeciw przeziębieniom, kaszłom, astmie, katarowi, krótkiemu oddechowi i zapaleniu gardła. Skutek niezwłoczny. Jedna butelka wystarcza (zwłaszcza większa za 3 ½ sz.). Firma D. O. R. A. N. i H. O. Bastablowie. Wystrzegać się naśladownictwa (pół pensa za zwrot butelki)”.

Naturalnie, że najważniejsze było postarać się o zaziębienie, a następnie wyleczyć naszym lekarstwem. Dick, jako wynalazca, miał największe prawa do choroby. Nikt się o to nie spierał. Było to nawet ładnie z naszej strony.

Tego samego dnia biegał Dick przez godzinę, zgrzał się i spocił, a następnie napił się zimnej wody. Nazajutrz stał boso i w nocnej koszuli przez dwadzieścia minut w największym przeciągu. Wszystko daremne. Poszliśmy do parku. Dick stanął w kałuży i z przemoczonymi butami chodził cały dzień. I to nie pomogło. Zamoczył sobie tylko obuwie. Na trzeci dzień

Noel zaczął kichać i kaszleć. Dick był na niego bardzo obrażony, że mu taki kawał zrobił.

— A czy to moja wina? — rzekł Noel — wcale się o to nie starałem, trzeba się było samemu przeziębic, a nie czekać na mnie. — Miał rację.

Noel poszedł do łóżka, a my zaczęliśmy przyrządzać lekarstwa. Żałowaliśmy, że nie może się bawić z nami, ale branie lekarstw było największą przyjemnością.

Każdy fabrykował na swój sposób. Ala zrobiła tak zwaną „gorzką herbatę”: wzięła liści lipowych, igieł sosnowych, kilka ziarenek pieprzu, trochę oliwy i wszystko zagotowała w słonej wodzie. Byłem przeciwny oliwie, Ala nie usłuchała mnie. Lekarstwo nie smakowało Noelowi i nie pomogło mu na przeziębienie.

Oswald kupił ałunu⁴⁴, wlał kilka łyżeczek terpentyny⁴⁵ (wiadomo, że terpentyna jest zba-

⁴⁴*ałun* — kruchy, rozpuszczalny w wodzie minerał przybierający formę kryształków, stosowany do tamowania krwawienia. [przypis edytorski]

⁴⁵*terpentyna* — bezbarwna lub żółtawa ciecz uzyskiwana z żywicy drzew iglastych. Stosowana m.in. do produkcji farb, lakierów i rozpuszczalników. W medycynie używana do nacierania. Może być trująca i działa drażniąco. [przypis edytorski]

wiennym lekarstwem na kaszel), wrzucił kawałek cukru i zmieszał w butelce. Przyszła Ala, wylała lekarstwo i powiedziała, że nie pozwoli truć Noela.

Dora dała mu rumianku na poty. To rzeczywiście pomogło. Niestety, nie możemy przecież sprzedawać rumianku. Byłoby to po pierwsze nieuczciwością, a po drugie nikt by nie uwierzył w skuteczność takiego lekarstwa.

Dick zmieszał sok cytrynowy z wodą sodową, było to smaczne, aczkolwiek nieskuteczne.

Najbardziej jednak smakowało Noelowi lekarstwo H. O. Dowodzi to tylko głupoty poety-brata.

H. O. wrzucił do letniej wody miętówki i dodał niebieskiej farby. Wyglądało ślicznie i nie było szkodliwe, bo na pudełku od farb był napis „Farby nietrujące”, co znaczy, że nie tylko można ssać pędzle, ale też i farby. Wesole było podczas przeziębienia Noela. Ogień się palił na kominku, siedzieliśmy przy łóżku Noela, a dziewczęta czytały nam na głos piękne bajki.

Ojciec wyjechał za interesami, a wuj Alberta znajdował się w Hastings. Byliśmy zadowoleni, nikt nam nie przeszkadzał, mogliśmy karmić Noela naszymi lekarstwami, w których skuteczność nie uwierzyłby nikt ze starszych.

Tymczasem zaziębienie Noela powiększało się coraz bardziej, głowa bolała go okropnie, zdaje się, że miał już gorączkę.

Oswald, schodząc ze schodów, wpadł na Alę i przewrócił ją.

— Nie becz, idiotko, nie uderzyłem cię namyślnie.

— Ja nie dlatego płaczę, Oswaldzie! Tylko jest mi smutno.

— Co ci to?

— Bo, bo — mówiła przez łzy — mnie się zdaje, że Noel jest chory... ale naprawdę. Eliza nie chce iść po doktora, bo mówi, że to jest zwyczajne przeziębienie. Ale on jest bardzo chory, może umrze... — I rozbeczała się.

— Przestań, idiotko! — krzyknął Oswald. (Jak on się obchodzi z rodzeństwem! Gdyby to była powieść, Oswald ucałowałby swoją siostrę,

rozplakałby się także i wspólne łzy popłynęłyby strumieniem po twarzy).

— To napiszmy do ojca — rzekł Oswald.

— H. O. zgubił kartkę z adresem. Szukałam wszędzie i nie mogę znaleźć. Ale zrobię coś innego. Poczekaj, powiem ci zaraz. Albo nie, nie powiem. Muszę wyjść na miasto. Tylko nie mów nikomu, że wyszłam, a gdy Eliza spyta się, to powiedz, że jestem na górze. Przysięgnij.

— Przysięgnę, jak powiesz, dokąd idziesz!

— Nie, nie powiem.

— No to nie przysięgnę.

Ala wymknęła się z domu wtedy, gdy Eliza szykowała nam podwieczorek.

Kiedy zapytała, gdzie Ala, powiedziałem jej, że robi porządek w szufladzie. (Zdarza się to jej czasem). Po podwieczorku Noel kasał i pytał o Alę. Powiedziałem, co wiedziałem... Ala wróciła z bardzo poważną miną i szepnęła mi, że wszystko w porządku.

Wieczorem Eliza wyszła, a myśmy zostali sami w domu. Nagle rozległ się dzwonek.

— To Eliza nie wzięła klucza. H. O., idź otworzyć, masz najmłodsze nogi. — Ale to nie była Eliza, tylko wuj Alberta.

— Jak to dobrze, że pan przyszedł — zawołał Oswald — Ala myślała, że Noel u...

Ala szarpnęła mnie za rękaw i urwałem w środku zdania.

— Myślałam tylko, że Noel jest naprawdę chory i że trzeba doktora — i wzięła wuja Alberta za rękę.

— Chodźmy do niego — rzekł wuj Alberta. Usiadł na łóżku i wziął Noela za puls.

— Gdy wielki mag arabski błędził po dzikich lasach Hastingsu — mówił wuj — i spoglądał na gwiazdy, wyczytał z nich, że poeta Noel Kamaralcaman dostał kataru. Zawołał mag swój kufer latający i oto jest.

Wyjął z kieszeni czekoladę, którą nam dał; Noela okrył, poprawił mu poduszki, dał mu kilka winogron i rzekł:

— Czas, by Noel usnął.

Poszliśmy do drugiego pokoju.

Wuj Alberta usiadł w fotelu i powiedział:

— Zaczynajcie...

— Może im pan powiedzieć, że telegrafo-
wałam, już mi wszystko jedno — rzekła Ala.

— Nic mędrszego uczynić nie mogłaś —
odpowiedział wuj.

Oswald zrozumiał sekret Ali, poszła na pocz-
tę i telegrafowała. „Przyjedź wuju! Zaziębili-
śmy Noela, może umrze”. Kosztowało to 10
pensów!

I wuj Alberta zaczął zadawać pytania i wy-
dało się wszystko, jak to Dick szukał zaziębie-
nia, a znalazł je właśnie Noel, jak go leczylimy,
itd.

— Jesteście za starzy na takie głupstwa.
Zdrowie jest najcenniejszym skarbem i igrać
z nim nie można. Wszak mogliście byli zabić
Noela.

— Ojej — rozbeczała się Ala — Noel umrze...

— Nie, nie — uspokoił ją wuj Alberta —
nic mu się nie stało, ale wasz postępek...

I mówił przez dobrą godzinę, a nam się ro-
biło coraz smutniej.

— Pamiętajcie, że przyrzekłem zabrać was do cyrku?

— Tak, pamiętamy — odpowiedział Oswald.

— Otóż nie cofam mojego przyrzeczenia, ale jeżeli chcecie, żebym zamiast tego wziął Noela na dwutygodniową kurację do Hastings, to wybierajcie.

— Niech pan zabierze Noela — zawołaliśmy jednogłośnie.

Wuj Alberta zczekał na Elizę, a potem powiedział nam dobranoc w taki sposób, że zrozumieliśmy, iż nie tylko wybaczył, ale zapomniał o naszym przestępstwie.

Poszliśmy spać. Nagle, musiało już być dobrze po północy, poczułem, że mnie ktoś szarpie. Otworzyłem oczy. To była Ala, cała drżąca i blada.

— Oswaldzie, Oswaldzie, taka jestem niešťczęśliwa. Gdybym umarła tej nocy...

— Idź do łóżka i daj mi święty pokój.

— Nie, nie. Ja ci muszę powiedzieć. Posłuchaj, ja jestem złodziejem. A gdy złodziej umiera, to idzie prosto do piekła.

— To nie są żarty — pomyślał Oswald. Usiadł na łóżku, przykrył Alę kawałkiem kołdry, a ona szepnęła mu do ucha wielką tajemnicę.

— Nie miałam dosyć pieniędzy na wysłanie depeszy, więc wzięłam fałszywe sześć pensów, które ojciec kazał wyrzucić. Nie powiedziałam ci, bo ty także nie miałeś pieniędzy i może byś mi zabronił telegrafować albo byś się zgodził na te fałszywe pieniądze i byłbyś także złodziejem. Co ja zrobię, nieszczęśliwa?

Oswald namyślał się przez chwilę, a potem rzekł:

— Szkoda, że mi nie powiedziałaś od razu, ale wszystko da się naprawić, jeżeli zwrócimy pieniądze. Nie martw się i idź spać. Już ja coś wymyślę.

I Ala poszła spać. Nazajutrz zanim zdążyliśmy się rozmówić z wujem Alberta, ten odjechał już z Noelem do Hastings.

Ala czuła się bardzo nieszczęśliwa, wprawdzie nie tak jak w nocy, wszystkie zmartwie-

nia wydają się w nocy stokroć cięższymi niż w dzień.

I Oswald był bardzo zdenerwowany. Nikt z rodzeństwa nie miał pieniędzy, a przecież lada chwila mogli byli przyjść ludzie z poczty i kazać zaaresztować Alę.

Myśleliśmy, myśleliśmy i nie wymyśliliśmy, skąd by tu wziąć sześć pensów; a Ala była w ciągłym niebezpieczeństwie.

Przed wieczorem udałem się na spacer. Kto wie, może na ulicy znajdę trochę pieniędzy.

W okolicach parku spotkałem panią Leslie. Miała na sobie piękne futro, a w ręku trzymała pęk złotych chryzantem. Poznała mnie z daleka, przystanęła i zaczęła wypytywać o kolegę-poetę.

Opowiedziałem jej, że zachorował i chciałem poprosić o pożyczenie sześciu pensów, ale nie mogło mi to przejść przez gardło.

Pani Leslie rozmawiała ze mną przez chwilę, potem spojrzała na zegarek.

— Jak późno! — wskoczyła do przejeżdżającej dorożki. Potem wychyliła się, dała mi

piękne kwiaty, które trzymała w ręce i rzekła: — Daj te kwiaty choremu poecie i pokłoń mu się ode mnie. — Odjechała.

A teraz, proszę was, drodzy czytelnicy, nie sądźcie Oswalda zbyt surowo. On pragnął tylko uratować honor rodziny Bastablów.

Wszystko wam powiem.

Oswald dla ocalenia małej siostrzyczki poświęcił swoją dumę. Nie ośmielę się nazwać go za to szlachetnym — wam pozostawiam ocenę.

Oswald pobiegł do domu, wziął najstarsze, podarte ubranie, rozczochrał sobie włosy i poszedł z chryzantemami przed pociąg, z którego wysiadali przyjezdni z Londynu.

I Oswald sprzedawał chryzantemy po pensie, a w przeciągu chwili sprzedał wszystkie za 10 pensów, potem pobiegł na pocztę do oddziału telegraficznego i rzekł do pani, która siedziała za kratą.

— Wczoraj jedna mała dziewczynka dała pani sześć fałszywych pensów, oto są dobre.

Ta pani powiedziała, że nie zauważyła żadnych fałszywych pieniędzy i nie chciała przyjąć tych, które jej Oswald dawał.

I on nie chciał ich wziąć. Więc ta pani wrzuciła je do skarbonki dla biednych.

Oswald pobiegł do domu, ażeby upewnić Alę, że już nie pójdzie do więzienia. Za cztery pozostałe pensy kupiliśmy karmelków. Nie powiedzieliśmy reszcie rodzeństwa, za jakie pieniądze — bo to był nasz sekret.

XI. DWAJ ZŁODZIEJE

W kilka dni po powrocie Noela z Hastings śnieg zaczął padać. Było pięknie i wesoło. Sami zamiataliśmy śnieg przed naszego domu, bo stróż za to bierze sześć pensów, a oszczędzone pieniądze są pieniędzmi zarobionymi. Ojciec dał nam sześć pensów i kupiliśmy sobie orzechów laskowych.

Tego wieczora poszliśmy wcześniej na górę, Noel był jeszcze słaby, więc się położył, roz-

paliliśmy ogień na kominku i jedliśmy orzechy.

Po chwili usłyszeliśmy, jak ojciec wyszedł. Eliza była na imieninach u swojej przyjaciółki, byliśmy więc sami. Nawet Rexa nie było w domu. Rozmawialiśmy o bandytach.

— To musi być straszny zawód — utrzymywała Dora.

— A mnie się zdaje — powiedział Dick — że to jest bardzo przyjemne zajęcie. Gdybym ja był bandytą, okradałbym tylko bogatych, a biednych wspierałbym, tak jak Janosik.

Nie przekonało to Dory, a Ala (doświadczona w tym względzie) mówiła:

— Za nic nie chciałabym być bandytą, ani nawet zwyczajnym złodziejem. To musi być straszne! Nie ma się chwili spokojnej. Nawet gdy leżysz w łóżku, a pod poduszką masz ukradzioną biżuterię, śnią ci się policjanci, detektywi, więzienie, czarny chleb z wodą i piekło.

— Nie zawsze bandytyzm jest rzeczą nieuczciwą — powiedział Noel — jeżeli na przy-

kład okradniesz złodzieja, to czyn twój będzie nawet bardzo szlachetnym.

— Tego nikt nie potrafi — odrzekła Dora — żaden złodziej nie jest tak głupi, ażeby się dał okraść.

— Co ty tam wiesz, a Ali-Baba, czyli czterdziestu rozbójników? — zawołał triumfalnie Noel.

— Co byśmy zrobili, gdyby teraz, w tej chwili przyszedł złodziej? — zapytała Ala.

— Oblałbym go wrzącą oliwą — powiedział H. O.

— A skąd byś wziął wrzącej oliwy, głuptasku? Ja pytam zupełnie poważnie, co byśmy zrobili z prawdziwym złodziejem?

Oswald i Dick nic nie odpowiedzieli; tylko Noel mówił, że można by go grzecznie poprosić, ażeby sobie poszedł, a gdyby się w żaden sposób nie chciał zgodzić, to byśmy go wrzucili do ognia.

A teraz opowiem wam rzecz niezwykłą, dziwną, niesłychaną, a jednak prawdziwą, nie wierzyłbym sam, gdyby mi to ktoś opowiadał, chy-

ba, że mówiłby to człowiek honoru i zaprzy-
siągnął. Jest to najprawdziwsza prawda, która do-
wodzi, że zdarzają się jeszcze na tym świecie
rzeczy niezwykle, niesłychane przygody.

Pytaliśmy Noela, w jaki sposób wrzuciłby
złodzieja do komina, w razie gdyby ten odejść
nie chciał, gdy posłyszeliśmy jakiś nieokreślony
hałas, coś niby stukanie, czy też potarcie zapał-
ki.

Zamilkliśmy. H. O. złapał Dorę za rękę,
dziewczęta spojrzały na Oswalda i Dicka, którzy
pobledli.

— To są duchy — szepnął Noel.

Nadśłuchiwaliliśmy przez chwilę, było cicho.

— Co zrobimy? Co zrobimy? — jęczała
zrozpaczona Dora.

O czytelniku, zdarzyło ci się, gdy nikogo
ze starszych nie ma w domu, bawić w swoim
pokoju i nagle posłyszeć tajemniczy hałas?

Jeżeli nie, to nie wyobrazisz sobie wszyst-
kiego, cośmy przeżyli w tej jednej chwili.

To nie było jak w książkach: włosy nie sta-
nęły nam dęba i nie szeptaliśmy: „biada! bia-

da!”. Nogi nam zmarzły, mimo, że siedzieliśmy przy ogniu. Ręce Oswalda stały się gorące i wilgotne, a uszy zaczęły go palić. Nazajutrz dziewczęta mówiły nam, że drżały z lęku i że zęby dzwoniły im z przerażenia, myśmy tego nie zauważyli.

— Otwórzmy okno i zawołajmy policję — rzekła Dora.

— Nie — odezwał się Oswald — to nie są ani duchy, ani złodzieje. Pewno kot z przeciwka wlaźł przez komin. Chodźmy na dół.

Zrobiło się nam rażniej. Dziewczęta nie chciały zejść. Dick rzekł:

— Jeżeli ty pójdziesz, to i ja z tobą.

— Czy to tylko aby kot? — zapytał H. O.

Postanowiliśmy więc zostawić go z siostrami. Dora zapowiedziała nam, że jeżeli weźmiemy ze sobą Noela, który jest jeszcze zakatarzony i rozebrany, to będzie wrzeszczeć z całych sił: „ogień! złoczyńca!”. Zadecydowaliśmy, że się Noel ubierze, a my tymczasem sami zejdziemy na dół.

Oswald mówił o kocie tylko dla dodania otuchy. Zdawało mu się, że się na dole znajdzie najprawdziwszy złodziej i Oswald chciał mu się przyjrzeć, w ogóle zobaczyć złodzieja, no i w razie powrotu Elizy otworzyć jej drzwi co prędzej.

Nie można być tchórzem i chować się przed złodziejem. Prawda? To samo odczuwał Dick.

Niejednen nazwałby nas bohaterami. Staram się więc wytłumaczyć, czemu zesliśmy na dół, gdyż żaden uczciwy i młody bohater nie pragnie więcej uznania niż zasługuje.

Gaz się nie palił i było ciemno na schodach, staliśmy dobrą chwilę, zanim zdecydowaliśmy się postąpić kilka kroków.

— Wróćmy po broń — szepnął Oswald do Dicka.

Poszliśmy do pokoju dziecinnego, wziąłem pistolet, a Dick szablę i tak uzbrojeni zesliśmy na dół.

I znowu szepnął Oswald. — Rzućmy się na nieprzyjaciela! — Zęby mi szczękały, ale tylko z zimna.

W gabinecie ojca paliło się światło. Oswaldowi i Dickowi poprawił się znacznie humor. Złodzieje unikają światła, posługują się tylko małymi latarkami. Uwierzyli, że to był tylko kot.

— Zabawmy się w żołnierzy i rzućmy się na nieprzyjaciela — rzekł Dick. Nabiłem pistolet, Dick podniósł szablę i z krzykiem:

— Poddaj się, bo wystrzelę! Jesteś moim więźniem! Ręce do góry — wbiegliśmy do gabinetu ojca.

Stanęliśmy jak wryci. W gabinecie ojca znajdował się prawdziwy złodziej.

Nie mieliśmy co do tego żadnych wątpliwości. W ręku trzymał nóż i stał przed odemkniętą biblioteką. Nie ma w niej nic prócz książek i starych szpargałów, ale złodziej mógł przypuszczać, że jest tam złoto i biżuteria.

Oswaldowi się zrobiło nieprzyjemnie, gdy się przekonał, że był to prawdziwy złodziej. Mimo to wymierzył pistolet, jak gdyby chciał ugodzić złoczyńcę w samo serce i czekał. A tamten,

trudno uwierzyć, upuścił nóż, ręce wzniosł do góry i rzekł:

— Poddaję się. Nie zabijajcie mnie! Ilu jest was tutaj?

— Więcej niż przypuszczasz — powiedział Dick — czy masz broń przy sobie?

— Broń Boże!

Oswald poczuł się silnym i powiedział, nie opuszczając pistoletu:

— Wywróć kieszenie.

Przyjrzelśmy się mu dokładnie. Był średniego wzrostu, ubrany w czarny, nieco wytarty tużurek i stare spodnie, obuwie miał trochę zniszczone, ale zresztą wyglądał bardzo przyzwoicie, nie jak rzezimieszek. Twarz miał surową, ale oczy uśmiechały się żartobliwie.

Przykro mi się zrobiło, gdy wywrócił kieszenie. W jednej miał tylko dziurę, a w drugiej fajkę, trzy pudełka zapalek, chustkę i kilka pensów.

Kazaliśmy mu to wszystko położyć na stole.

— Złapaliście mnie — rzekł złodziej — a co będzie dalej? Zawołacie policję?

Ala i H. O. zaciekawieni, czemu nie wracamy, zeszli na dół.

— Brawo, chłopcy! — zawołała Ala, ujrzawszy mnie z pistoletem, a złodzieja z rękami wyciągniętymi do góry.

— Jeżeli da nam pan słowo honoru, że nie ucieknie, to nie pójdziemy na policję, tylko czekamy na ojca.

Złodziej dał nam słowo honoru, że nie będzie próbował ucieczki i zapytał, czy mu pozwolimy zapalić fajkę. Nie mieliśmy nic przeciwko temu, poprosiliśmy go nawet, by usiadł w fotelu ojca, a sami usadowiliśmy się na kanapie. Dick pobiegł po orzechy i resztę rodzeństwa. Po chwili wrócił z Dorą i Noelem, który zdążył się już ubrać.

— Nie zawsze byłem takim sobie zwyczajnym opryszkiem — mówił nasz więzień, gdy go Noel zapytał, jakie rozboje i kradzieże popełnił w ciągu ostatnich dni.

— Nie, nie żałuję, że byłem schwytany przez was, na gorącym uczynku — ciągnął nasz złodziej z uprzejmym uśmiechem — dzielni z was

młodzieńcy. Na mój złodziejski honor! po raz pierwszy zetknąłem się z tak walecznymi przeciwnikami. „Podдай się, bo wystrzelę!”, co za donośny głos.

Oswaldowi przykro się zrobiło, że krzyczał tak donośnie.

— Myślałem, że nikogo nie było w mieszkaniu.

— Jak to? — spytał zdumiony złodziej.

Opowiedzieliśmy mu więc o naszych obawach, a następnie o zabawie, poczęstowaliśmy go orzechami, a potem przyćmiliśmy gaz, ażeby zrobić ojcu niespodziankę, gdy wróci do domu.

— I nie wstyd panu okradać ludzi biednych, jak my? — zapytał Dick.

— Owszem — odpowiedział złodziej, zdaje mi się, że się nawet zarumienił — ale w ostatnich czasach dopiero upadłem tak nisko. Byłem dawniej rozbójnikiem morskim, następnie bandytą konnym. Koń zdechł. Nie miałem za co kupić nowego, a wynajęcie kosztuje bardzo drogo: pięć szylingów godzina.

— Czemu pan nie jeździ na rowerze? — zapytał H. O.

— Nie, moje dziecko, żadnemu szanującemu się opryszkowi nie wypada jeździć na rowerze.

Potem opowiadał nam o rozmaitych rozbójach i grabieżach, a jak pięknie mówił, z jakim zainteresowaniem słuchaliśmy tego wszystkiego.

— Jestem pewna, że tylko przypadkowo został pan złoczyńcą — rzekła Dora.

— Może, może... — szepnął tajemniczo złodziej.

— Czemu przestał pan być rozbójnikiem morskim? — zapytał Oswald, który mu tego najbardziej zazdrościł.

— Bo... bo ze wstydem wyznaję, cierpiałem na morską chorobę.

— I Nelson miał morską chorobę — pocieszył go Dick. Oswald zapomniał na chwilę, że to był złodziej i poczęstował go jak gościa.

— Może się pan czegoś napije?

Dora poszła do kredensu, przyniosła butelkę piwa i powiedziała, że bierze ją na swoją odpowiedzialność. Usiedliśmy znowu, a złodziej opowiadał o swoich przygodach.

Złodziej opowiadał o tym, że nie zawsze bandytyzm jest rzeczą miłą i wesołą, zwłaszcza, gdy podczas burzy lub śnieżnej zawiei trzeba nocować na dworze. Mówił, że od czasu, jak został złodziejem, nikt go nie pocałował. Za lepszych czasów był buchalterem⁴⁶, handlarzem koni i pułkownikiem dragonów⁴⁷. Nie wiem tylko, czy jednocześnie, czy też kolejno.

Zdaje mi się, że nie poznałem nigdy człowieka, którego bym tak od razu polubił, jak naszego złodzieja.

Opowiadaliśmy mu właśnie o lordzie Tottenham i o innych, gdy posłyszeliśmy hałas w kuchni.

— Cicho! — szepnął złodziej i zaczął nasłuchiwać. — Tam ktoś jest, daj mi swój pistolet.

⁴⁶*buchalter* (daw.) — księgowy. [przypis edytorski]

⁴⁷*dragon* — żołnierz lekkiej jazdy. [przypis edytorski]

— Ależ to jest tylko zabawka — odszep-
nałem.

— Nic nie szkodzi. Słyszycie: odemknął
okno i już jest w pokoju. Zdejmę buty i pójdę
tam. A wy siedźcie cicho.

Postanowiliśmy z Dickiem nie opuszczać
go i wsunęliśmy się za nim do kuchni.

Nagle usłyszeliśmy, jak nasz złodziej wołał:

— Poddaj się! Ręce do góry, bo wystrzelę
— i oczom naszym przedstawił się widok nie-
oczekiwany.

Nasz złodziej stał z wymierzonym pistole-
tem (tak, jak Oswald poprzednio), a naprze-
ciwko niego jakiś mężczyzna niskiego wzro-
stu, o obrzękłej twarzy i dużym czerwonym
nosie. Wyglądał na złodzieja najgorszego ga-
tunku. W ręku trzymał małą latarkę i pęk klu-
czy.

— Dobrze! Dobrze... — drżał jak w febrze
— tylko weź tę broń.

— A teraz, Oswaldzie, idź po policję —
rzekł nasz złodziej stanowczym głosem.

Złodziej spojrział na mnie i zaczął mówić.

— Proszę łaski pana. Niech mnie pan puści. Jestem biedakiem, mam żonę i dzieci, co się z nimi stanie, gdy mnie wezmą do ciupy — oczy mu latały na wszystkie strony — dzieci głodne, poszedłem kraść, ażeby im kawałek chleba przynieść. Tyle pokus na tym świecie. — I spojrział na srebrny koszyk, który stał na kredensie. Dora, Ala, Noel i H. O. weszli do kuchni. Zdawało im się, że kot tym razem napędził stracha naszemu złodziejowi.

A ten opryszek wciąż mówił o głodnej rodzinie, chorej żonie i ośmiorgu dzieci.

— Niech go pan puści — prosiła Ala — może naprawdę ma taką dziewczynkę, jak ja. Gdyby to był ojciec...

— Wątpię, czy ma taką córeczkę jak ty, lepiej mu będzie pod kluczem, niż na swobodzie.

— Niech się panienska za mną wstawi, proszę panienki.

— Dobrze — rzekła Ala — a czy pan przyrzeka poprawę?

— Tak.

— I nigdy pan tu nie wróci?

— O nie!

— No to niech go pan puści. Niech wraca do chorej żony i dzieci.

Nasz złodziej nie dał się uprosić i zapowiedział nam, że zaczekamy aż do powrotu ojca, który sam wymierzy sprawiedliwość.

Naraz odezwał się H. O.:

— Nie wiem, czy to tak ładnie z pańskiej strony, skoro pan sam jest złodziejem.

— Na miłość boską! — krzyknął nasz złodziej i postąpił krok, by tamtego schwytać za barki, gdy tamten przewrócił go, dał susa i znalazł się za oknem.

— Do widzenia! Pokłonię się żonie i dzieciom — i znikł.

Rzuciliśmy się na pomoc naszemu złodziejowi. Nic mu się nie stało, uderzył się lekko w głowę i zakurzył. Założył łańcuch u drzwi w kuchni, bo Eliza zawsze o tym zapomina i wróciliśmy do gabinetu ojca.

— Cóż za dziwna noc — rzekł złodziej. I rzeczywiście była to najdziwniejsza przygoda,

jaka się nam zdarzyła, chociaż nie szukaliśmy skarbu.

— To złodziej szukał skarbu dla swoich dzieci — powiedział H. O., ale nasz złodziej nie chciał wierzyć w istnienie tych ośmiorga dzieci i chorej żony.

Po chwili usłyszeliśmy, jak ojciec przekręcał klucz w drzwiach frontowych.

— Oto wasz ojciec! Biegnijcie po policję.

— O nie! — zawołaliśmy wszyscy — niech pan ucieknie przez kuchnię.

— Dick panu otworzy — dodała Dora.

Włożyliśmy mu kapelusz na głowę i jego drobiazgi do kieszeni, podaliśmy mu laskę. Ale złodziej nie spieszył się dosyć, bo oto wszedł ojciec.

— Wybacz mi, że ci dałem czekać aż tak długo — rzekł wyciągając rękę do naszego złodzieja — ale... — przystanął ze zdumieniem. — Dzieci, wy tu? Co to znaczy?

Nikt się przez chwilę nie odzywał. A ojciec powiedział:

— Muszę cię, Foulkesie⁴⁸, przeprosić za te niegrzeczne dzieci.

A nasz złodziej zatarł ręce i rzekł:

— Myli się pan, nie jestem żadnym Foulkesem, ale złodziejem schwytanym na gorącym uczynku. „Ręce do góry! Poddaj się, bo wystrzelę”. Słowo honoru, udały ci się dzieciaki, chciałbym, żeby mój chłopak był tak dzielny, jak twój.

Gdy zaczęliśmy rozumieć, doznaliśmy uczucia, jak gdyby nas ktoś przygwoździł do ziemi.

Bo ten złodziej nie był złodziejem, tylko szkolnym kolegą ojca. Gdyśmy się bawili na górze, w naszym pokoju, przyszedł do ojca z prośbą, ażeby wystarał się o list polecający do doktora, bo jego córeczka jest chora. I ojciec poszedł niezwłocznie, a pan Foulkes miał zaczekać na powrót ojca.

Zgłupieliśmy do reszty. Nasz złodziej opowiedział ojcu o tamtym opryszku i o tym, jak Oswald z pistoletem wpadł do pokoju i — resz-

⁴⁸*Foulkes* — przywrócono pisownię oryginalną; w wydaniu źródłowym: Tulk, Tulek. [przypis edytorski]

tę wiecie. Potem ojciec poklepał mnie po ramieniu, przyniósł jeszcze jedną butelkę piwa (śmiał się z Dory, bo powiedziała, że pierwszą „wzięła na swoją odpowiedzialność”). Wyciągnął z szuflady figi. Nie pamiętam czasu, żeby nam było tak wesoło i przyjemnie! Ojciec i pan Foulkes rozmawiali i dokazywali z nami. Na dobranoc Ala rzuciła się na szyję naszemu nowemu przyjacielowi.

— Miałam ochotę uczynić to wtedy, gdy pan opowiadał, że nikt go nie całował od czasu, jak został zwyczajnym bandytą.

— Domyśliłem się tego.

I Dora ucałowała go też.

— Ale te historie o piratach i rzezimieszkach były zmyślane?

— Naturalnie. Starłem się tylko odegrać moją rolę.

I rzeczywiście grał ją bez zarzutu.

Drodzy czytelnicy, jeżeli zdarzyła wam się w ciągu jednej nocy podobna przygoda, to mi ją prędko opiszcie!

XII. MAGICZNA LASKA

Wielkie sprzątanie nie należy do największych przyjemności i w dniu, w którym postanowiliśmy iść za magiczną laską, było bardzo niewygodnie w domu.

Ojciec zapowiedział Elizie, że nazajutrz przyjdzie bardzo ważny gość na obiad. Zdziwiliśmy się bardzo, bo zdawało się nam, że ojciec myśli tylko o interesach. Za życia mamy przychodzili goście bardzo często, a następnego rana dostawaliśmy łakocie.

Eliza wzięła do pomocy jakąś kobietę i obie myły, szorowały, froterowały i wycierały kurz.

Przy tej sposobności H. O. nabił sobie straszego sińca i rozplakał się.

Eliza kazała mu się wynosić, więc się rozbeczwał na dobre. Zawiazaliśmy mu głowę i bawiliśmy się, że był bohaterem i rannym na polu bitwy, a myśmy go leczyli. Po chwili znudziło się H. O. być pacjentem, a Dick był tak zmęczony brakiem zajęcia, że Dora powiedziała:

— Czuję, że się zaczniesz sprzeciwiać Noelowi.

— Nie miałem tego zamiaru, ale kiedy tak mówisz, to pójdę sobie do parku. Czytałem, że jakiś mężczyzna uciekł z własnego domu przed kobietą — wcale mu się nie dziwię.

Oswald, który chętnie godzi poważnione rodzeństwo, rzekł, że Dick jest gęsią.

— Dora zaczęła. Ona zawsze zaczyna — powiedziała Ala.

— Nie wtrącaj się do mnie, smarkato jedna! — krzyknęła zniecierpliwiona Dora.

Przyszłoby do poważniejszego zajścia, gdyby nie Noel.

— Proszę was, nie kłóćcie się bez powodu. Posłuchajcie tego wiersza:

Jakże brzydką rzeczą kłótnie.
Człowiek gniewa się okrutnie.
I chociaż błaha przyczyna
Trudno skończyć, gdy się zaczyna.

Uśmialiśmy się serdecznie i przestaliśmy się kłócić. Zabawny jest Noel ze swoimi poezjami, ale ma stanowczo rację, nie wiadomo jak i skąd rozpoczyna się kłótnia, a potem tak trudno przestać.

Ala nazwała Noela poetą laureatem i orzekła, że mu się należy korona. Pobiegliśmy urwać ostatnie liście, jakie były w ogrodzie i Dora uwiła wieniec dla Noela.

— Zabawmy się w laskę magiczną — powiedziała Ala.

Nie po raz pierwszy bawiliśmy się w to i Oswald z góry wiedział, co rzec.

— Piękna pustelnico, przychodzimy do Ciebie i błagalnie wznosimy ręce. Złota nam brakło. Ty jedna znasz drogę szczęścia, wskaż ją nam.

— A na cóż wam złoto? — spytała Ala. — Czy chcecie zeń zrobić hełmy i szyszaki?

— Tak — odpowiedział Noel — chcemy zeń zrobić hełmy, szyszaki, tarcze i pancerze.

— Chcemy — rzekł Oswald — zrobić piękne puchary.

— Ażeby pić z nich czekoladę — powiedział H. O.

— Chcemy wybudować złote pałace i twierdze obronne — powiedziała Dora — chcemy złota na różne drobne wydatki, suknie, wstęgi, pantofle, rękawiczki i...

I gdybyśmy jej nie przerwali, wyliczałyby tysiące innych rzeczy.

Ala ściągnęła ze stołu zieloną serwetę, rzuciła ją na ramiona, w ręce ujęła parasol i rzekła:

— Chodźcie i nie obawiajcie się niczego. Wierzę w szlachetność waszych zamiarów i pomogę wam.

I zaczęliśmy zstępować ze schodów, śpiewając *Bohaterów*.

Jest to ponura pieśń, której dziewczynki nauczyły się w szkole.

Ala zatrzymała się, wzniosła rękę do góry i rzekła:

— Prowadź mnie, lasko magiczna. Prowadź do szczęścia krainy. Chodźcie za mną i nie oglądajcie się poza siebie, a gdy się laska ma-

giczna zatrzyma, i wy przystańcie i zacznijcie kopać — a oczom waszym ukaże się najcenniejszy skarb... H. O., nie szuraj bucikami. — Chodźcie za mną.

I szliśmy tak po całym mieszkaniu, z piętra na parter, z parteru na piętro i przez wszystkie pokoje. Ala śpiewała hymn, który Noel ułożył na poczekaniu:

Lasko magiczna,
Lasko prześliczna,
Ulituj się nad ludem,
I obdarz go cudem,
Uszczęśliw kraj
I złoto daj!

Zaczęliśmy się już nudzić i powiedzieliśmy Ali, że skoro nie może znaleźć złota, zabawimy się w inną grę.

Ala była niestrudzona w swojej roli i rzekła: — Jeszcze chwilę bawimy się w laskę magiczną.

I zaprowadziła nas do dziecinnego pokoju, w którym był zdjęty dywan, Eliza zabrała go do trzepania.

— Złoto! widzę złoto. Zaśpiewajcie pieśń chóralną!

I zaśpiewaliśmy *Bohaterów*, a Ali wypadł parasol z ręki.

— Przemówiła laska magiczna! Kopcie tu i nie traćcie otuchy.

— Jak kopać w podłodze? — zaczęliśmy więc skrobać podłogę rękami i scyzorykami.

— Nie odrywajcie posadzki! — krzyknęła Ala. — Rura od gazu przechodzi tamtędy. Czy nie umiecie kopać na niby? Już widzę skarby wspaniałe, złoto, diamenty, szafiry.

— Tak, tak, wspaniałe skarby — ziewnął Dick. — Może innym razem je wykopujemy.

Lecz Ala klęczała na podłodze i bawiła się dalej.

— Niech oczy upoję wspaniałością, która mnie oślepia — mówiła rozentuzjasmowana — od lat tysięcy... Oswald, nie pchaj mnie... leży tu bogactwo królewskie, słuchajcie, słu-

chajcie i patrzcie, tam błyszczy coś, naprawdę coś błyszczy!

Myśleliśmy, że żartuje, lecz Ala starała się naprawdę włożyć rękę do szpary.

Nachyliliśmy się wszyscy i doprawdy zauważyliśmy coś świecącego.

— Noelu, błagam cię! biegnij do pokoju Elizy i przynieś szpilkę do kapelusza — rzekła Ala. — Ani palca, ani laski nie zmieścimy w tej szparze.

— Pewno to nie skarb, tylko oko myszy lub szczura — powiedział Noel, który nie miał ochoty iść po szpilkę.

— Idź, idź, Noelu — prosiliśmy wszyscy.

Noel przyniósł szpilkę i ku wielkiemu zdziwieniu i nieopisanej radości rodziny Bastablów, Ala wyciągnęła ze szpary złoty pieniądz. Gubiliśmy się w domysłach, skąd wziął się ten nieoczekiwany skarb. Dora przypomniała sobie, że kiedyś, gdy jeszcze mama żyła, H. O. rozsypał pieniądze w pokoju dzieciennym. Pewno jeden wpadł do szpary.

H. O. chciał od razu pójść do sklepu i kupić maskę, przedstawiającą barana, która mu się tak bardzo podobała i kosztowała tylko cztery pensy.

Dora powiedziała, że trzeba poczekać na ojca, i H. O. zmartwił się serdecznie. Rozumiem go doskonale. Pod niektórymi względami Dora jest podobna do starszych. Nie pojmuje, że gdy się ma na coś ochotę, to trudno czekać, nawet przez chwilę.

Poszliśmy zatem po radę do wuja Alberta-z-przeciwka.

Pisał jakąś nowelę, ale powiedział, że wcale mu nie przeszkadzamy.

— Bohater mój znajduje się w kłopotach — rzekł — stoi na rozdrożu i nie wie, co czynić dalej. Dlaczegoż był tak nieostrożnym? Niech się sam pomęczy! A ja uprzyjemnię sobie czas pogawędką z wami.

Lubię wuja Alberta. Mówi jak z książki, a mimo to rozumiemy go doskonale. Nikt, prócz naszego złodzieja, nie umie bawić się z nami tak jak on.

— O wielki mnichu — rzekła Ala pustelnica — najpokorniejsza z twoich sług wzięła parasol magiczny i z pieśnią niwo... niwo... (jak to się nazywa?).

— Inwokacja — odpowiedział wuj Alberta.

— Tak, tak, z inwokacją na ustach szłam dolinami i górami; ale tamtym znudziło się, więc upuściłam laskę magiczną (niedaleko gazomierza) i znaleźliśmy ten złoty pieniądz.

— Naprawdę, jesteście dziećmi szczęścia — powiedział wielki mnich, sprawdziwszy, że moneta jest prawdziwa. — Drugi raz już znajdujecie złoto. Zaczekajcie na ojca — a teraz odejdźcie w spokoju. Bohater mój niecierpliwi się i wzywa mnie z utęsknieniem. Żegnam was!

Wieczorem opowiedzieliśmy ojcu o znalezionym pieniądzu, powiedział nam, że możemy z nim zrobić, co nam się żywnie podoba.

Potem rzekł:

— Indyjski wujaszek waszej mamusi przyjdzie do mnie jutro na obiad. Wuj nie jest przy-

zwyczajony do dzieci, więc proszę was bardzo, zachowujcie się, jak gdyby was w domu nie było. I niechaj H. O. zdejmie te skrzypiące buci-ki, bo wszędzie je słychać. No, dobranoc, dzie-ciaki! Tylko nie przystępujcie do żadnego inte-resu z waszymi pieniędzmi!

Cały wieczór przeszedł nam na projektach, w jaki sposób wydamy pieniądze. Postanowi-liśmy wydać wszystko od razu i urządzić sobie ucztę królewską nazajutrz po wizycie wujaszka. Kupiliśmy figi, daktyle, migdały, orzechy ko-kosowe, winogrona, rodzynki, czekoladki, cia-steczka, struclę z makiem i zająca. Eliza przy-rzekła upiec go.

H. O. musiał zanieść swoje zabawki na strych i włożyliśmy nasze zakupy do jego szuflady. (H. O. jest dosyć duży, ażeby się oduczyć egoizmu). Potem przysięgliśmy na honor rodzinny, że nie ruszymy zakupów aż do wielkiej uczyty. Dali-śmy tabliczkę czekolady H. O., ażeby mu było łatwiej przysięgać.

A nazajutrz, nazajutrz był największy dzień w naszym życiu.

Nikt z nas nie domyślił się nawet tego.
Ale o tym potem.

XIII. BIEDNY INDIANIN

Łatwo było przyrzec ojcu, że nie będziemy hałasowali. Ale czy buty mojego najmłodszego brata są jedyną rzeczą, która robi hałas? Zdjęliśmy mu je i włożyliśmy ranne pantofle Dory, gdy indyjski wuj miał przyjść na obiad i pomówić z ojcem o ważnych interesach.

Chcieliśmy koniecznie zobaczyć tego wujaszka i jak tylko usłyszeliśmy dzwonek, przechyliliśmy się przez poręcz, zachowując się cicho niby myszy kościelne. Cóż z tego?

Gdy Eliza po otworzeniu drzwi wróciła do kuchni, rozległ się nagle nieopisany hałas. Myśleliśmy, że nadszedł dzień sądu ostatecznego lub trzęsienie ziemi. Eliza mówiła nam potem, że potrąciła tacę i że dwie, czy też trzy filiżanki potłukły się. Zdaje nam się, że to musiał być co najmniej tuzin talerzy!

Usłyszeliśmy, jak wuj zawołał: „Boże, zmiłuj się” i wszedł pospiesznie do gabinetu ojca. Ojciec zamknął drzwi i nie zdołaliśmy nawet przyjrzeć się wujowi. Zdaje mi się, że się obiad nie udał. Było coś spalonego, czułem w powietrzu. Może mleko. Eliza nie przyznała się do tego. Tylko Dorze pozwoliła wejść do kuchni podczas gotowania. Po obiedzie dostaliśmy resztki deseru.

Usiedliśmy w kącie przy schodach, tam gdzie jest najciemniej, i jedliśmy leguminę⁴⁹.

Naraz otworzyły się drzwi i wuj podszedł do wieszaka i zaczął szukać w kieszeniach swojego paltka.

Wyjął papierośnicę.

Zobaczyliśmy go lepiej. Był dużego wzrostu, silny, barczysty i wcale nie wyglądał jak czerwonoskóry Indianin z książki Dicka.

— Cóż za okropny obiad — mruknął i wrócił do gabinetu, drzwi za sobą nie domykając.

⁴⁹*legumina* — rodzaj deseru, słodka potrawa na mące, np. kisiel, budyń czy pudding. [przypis edytorski]

Nie podstuchiwalismy oczywiście i nie staliśmy pod drzwiami, ale indyjski wujaszek mówił bardzo głośno, a ojciec nie dał się przekrzywić jakiemuś tam Indianinowi, mówił także głośno.

Słyszeliśmy jak opowiadał wujowi, że jest to doskonały interes, tylko wymaga kapitału, niewielkiego kapitału — a mówił to, jak nieprzyjemną lekcję, której chce się pozbyć jak najprędzej.

Na to rzekł wuj:

— Nie kapitału, ale lepszego prowadzenia wymaga ten interes.

A ojciec odpowiedział:

— To jest przykry temat, w ogóle żałuję, że go poruszyłem, mówmy o czym innym. Pozwoli pan kieliszek wina?

I wtedy Indianin powiedział coś o sprzedaży, stratach i — że człowiek biedny, stary, złamany, nie może być zbyt ostrożny.

Potem mówili o parlamencie, kwestiach podatkowych itp. Nie interesowało to nas więc.

Oswald przypomniał sobie, że nie należy słuchać tego, co mówią w sąsiednim pokoju.

— Może ojciec i wuj byliby z tego niezadowoleni? — rzekł Oswald.

— Myślisz? — powiedziała Ala i podeszła cichutko do drzwi i zamknęła je.

Poszliśmy do siebie na górę. I Noel rzekł:

— Rozumiem teraz. Ojciec zrobił wielkie przyjęcie dla biednego, starego, złamanego Indianina.

Miał rację Noel. I teraz dopiero zrozumieliśmy, czemu nie jedliśmy obiadu razem z ojcem i jego gościem.

— Biedni ludzie są bardzo dumni — rzekła Ala — ojciec przypuszczał, że biedny Indianin wstydzić się będzie przed swoimi siostrzeńcami.

— Ubóstwo nie jest hańbą — powiedziała Dora — należy szanować uczciwych biedaków.

— Tak — westchnęła Ala — jaka szkoda, że się obiad nie udał. Nie co dzień, pewno, jada obiady.

— I rzeczywiście — użalała się Dora — obiad był bardzo niesmaczny. Wprawdzie stół pięknie wyglądał, ubrałam go kwiatami i pożyczylam od matki Alberta-z-przeciwka srebrne łyżeczki do kompotu.

— Mam nadzieję, że biedny Indianin jest uczciwym człowiekiem — przerwał Dick z ponurą miną — srebrne łyżeczki muszą być wielką pokusą, gdy się jest biednym i złamanym.

— Tego już za wiele — powiedział Oswald — nie zapominaj, że biedny Indianin jest wujem mamy i że krewny nasz nie postąpiłby niehonorowo.

— Zresztą zwróciłam już łyżeczki mamie Alberta — rzekła Dora — ale ten obiad był straszny: rosół za wodnisty, mięso przypalone, kartofle za twarde, a szarlotka nie do jedzenia.

— Biedny Indianin.

— I my też nie co dzień jadamy smaczne obiady — westchnął H. O. — ale jutro!

— Tak, jutro. — I pomyślałem o zającu, strucli, bakaliach, owocach, czekoladzie i pier-

nikach, porównałem tę ucztę z dzisiejszym obiadem.

— Zaprośmy biednego Indianina na nasz obiad! — uprzedziła mnie Ala, zanim ja zdążyłem powiedzieć.

Namówiliśmy młodsze dzieci, ażeby poszły spać. Dick stanął na straży przed gabinetem ojca; miał mi dać znać, kiedy wuj będzie wychodził, a ja pobiegnę pędem przed dom, spotkam się z Indianinem we drzwiach i poproszę go na obiad.

Wyglądało to może na obławę, ale zrozumiejcie⁵⁰, moi czytelnicy, nie mogłem przecież w obecności ojca powiedzieć wujowi, że mu ojciec dał marny obiad — ale jeżeli pan zechce przyjść jutro, to przekona się pan, jak smakuje prawdziwa uczta królewska. Byłoby to niedelikatnie z naszej strony.

Powiodły się plany strategiczne. Gdy biedny Indianin dochodził do furtki, wyszedłem naprzeciw, zdjąłem czapkę i rzekłem:

⁵⁰*zrozumiejcie* — dziś raczej: zrozumcie. [przypis edytorski]

— Dobry wieczór, wuju — głosem grzecznym i uprzejmym, jak gdyby był właścicielem samochodu, a nie nędzarzem, który musi iść pieszo do domu i nie ma nawet na tramwaj.

— Dobry wieczór, wuju — powtórzyłem, a on spojrzał na mnie ze zdumieniem. Pewno po raz pierwszy zwracał się ktoś do niego tak uprzejmie i życzliwie. Bo któż z dzieci uszanuje biednego starca?

— Dobry wieczór, wuju — rzekłem jeszcze raz.

— Najwyższy czas, ażebyś już spał, młodzieńcze. — Pomyślałem, że muszę się z nim zaraz rozmówić. Więc zacząłem.

— Pan był na obiedzie u ojca. Ja i moje rodzeństwo słyszeliśmy (przypadkowo) jak pan mówił, że obiad był niesmaczny. A że pan jest Indianinem, może nawet biednym Indianinem (nie mogłem mu powiedzieć, że z jego własnych ust usłyszeliśmy bolesną prawdę) i może pan codziennie obiadu nie jada, zapraszamy pana na jutro do nas, na obiad dziecienny. Ręczę, że pan nie pożałuje, będzie zając i wiele innych

smacznych potraw. Niech się pan nie wstydzi swojego ubóstwa: nędza nie hańbi człowieka.

Mógłbym być powiedzieć znacznie więcej, ale wuj przerwał mi i rzekł.

— Na honor! pięknie mówisz młodzieńcze, a jak ci na imię?

— Oswald Bastabel — odpowiedziałem. Sądzę, drodzy czytelnicy, że domyślicie się dopiero w tej chwili, że *ja* byłem przez cały czas Oswaldem.

— Oswaldzie — rzekł wuj — z największą przyjemnością skorzystam z łaskawego zaproszenia i przyjdę punktualnie na obiad. Czy mam się stawić o pierwszej?

— Tak — powiedział Oswald — prosimy wuja na pierwszą godzinę. Dobranoc.

Pobiegłem na górę podzielić się z Dorą i Dickiem radosną nowiną, a do młodszych napisałem kartki „Biedny Indianin przyjdzie na obiad, zdaje się, że był niezmiernie wdzięczny za zaproszenie” i położyłem na nocnych stolikach, ażeby mogli przeczytać ważną nowinę, skoro

tylko oczy otworzą. Ojcu, z wiadomych powodów, nie powiedzieliśmy nic o wizycie wuja.

Elizę tylko uprzedziliśmy, „że będzie gość na obiedzie”. Myślała, że Albert-z-przeciwka przyjdzie do nas. Była w dobrym humorze, więc upiekła zająca z kasztanami, a na deser zrobiła czerwoną galaretkę z biszkoptami.

O pierwszej przyszedł wuj. Pomogliśmy mu zdjąć palto i wprowadziliśmy go zaraz do dzieciennego pokoju. Ażeby wuj nie miał wrażenia, że jest na proszonym obiedzie, ale wśród swoich przyjaciół — Indian, postanowiliśmy zasiąść do stołu u nas w dzieciennym pokoju.

Wuj pytał nas o wiek, imiona i do jakiej szkoły chodzimy. Pokiwał smutnie głową, gdyśmy mu powiedzieli, że wciąż jeszcze mamy wakacje. Potem zapytałem wuja, czy lubi krokietta, wuj odpowiedział mi, że już od dawna nie grał. Więc zaległo kłopotliwe milczenie.

Umyliśmy wszyscy przed obiadem twarze i ręce i wyglądaliśmy bardzo ładnie. Zwłaszcza Oswald, który się ostrzygł.

Gdy Eliza wniosła zająca i wyszła, spojrzeliśmy na siebie z cichą rozpaczą. Zdawało się nam, że będzie to taki sam nudny proszony obiad, jak wczoraj — z tą różnicą jedynie, że jedzenie smaczniejsze.

Dick kopnął Oswalda, ażeby się odezwał (a Oswald miał nowe buty!). Oswaldowi nie przyszło nic mądrego do głowy.

Wuj zapytał:

— Czy ty pokroisz zająca, czy też ja?

I nagle Ala zawołała:

— Czy woli wuj obiad dla dorosłych, czy też zabawę w obiad?

— Naturalnie, że wolę zabawę w obiad.

Więc wuj został myśliwym, a zając niedźwiedziem, ukrytym w puszczy, wuj rzucił się i zastrzelił go. Potem rozpaliliśmy ogień na kominie i opalaliśmy kawałki mięsa na widelcach. Kawalek wuja spalił się, ale wujowi smakował bardzo. Zapewniał nas, że daleko przyjemniej polować samemu, niż jeść z talerza. Gdy Eliza zabrała resztki i kości zająca i przyniosła leguminę, zamknęliśmy drzwi na klucz i zno-

wu zaczęliśmy pościg za leguminą. Wuj doka-
zywał najwięcej, ale jadł najmniej. Powiesili-
śmy na szafie winogrona, które wuj sam zry-
wał, następnie zakupił wuj figi i daktyle, które
na okręcie przywiózł zamorski kupiec (szuflada
była statkiem, a H. O. kupcem).

Była to najwspanialsza uczta, jaką spożyli-
śmy kiedykolwiek.

— Mam nadzieję, że obiad smakował wu-
jowi bardziej niż wczoraj — rzekła Dora.

— Doprawdy jest to najwspanialszy obiad,
jaki jadłem w Europie — odpowiedział wuj
i zapalił cygaro. Mówił nam dużo o Indiach
i polowaniu na lwy i tygrysy. Polubiliśmy tego
biedaka.

Gdy odchodził, Ala dała znak Oswaldowi,
więc rzekłem:

— Oto szyling i trzy pensy, które pozosta-
ły nam ze złotej monety. Pieniądze te są nam
zbyteczne, a panu przydadzą się z pewnością.

— Dziękuję, serdecznie dziękuję, wezmę
trzy pensy, ale nie mogę pozbawiać was resz-

ty. A skąd mieliście pieniądze na to królewskie przyjęcie?

Opowiedzieliśmy mu o rozmaitych sposobach, jakimi poszukiwaliśmy skarbu i wuj usiadł znowu. Więc opowiedzieliśmy mu wszystko, a na zakończenie o magicznej lasce i znalezionym pieniądzu.

I wuj powiedział, że chciałby się zabawić z nami w laskę magiczną; ale wytłumaczyliśmy mu, że nie ma już w domu ani złota, ani nic ze srebra, a laska wskazuje tylko szlachetne metale.

— Bo skrzynie ze srebrem stołowym poszły do naprawy i jeszcze dotąd nie wróciły — wyrwał się H. O.

— Na miłość boską — szepnął wuj, spoglądając na dziurę w dywanie, którą zrobiliśmy ogniami bengalskimi (deszcz padał wtedy, więc nie mogliśmy bawić się ogrodzie). Wuj nie zauważył dziury i rzekł:

— A ile dostajecie na wasze drobne wydatki?

— Nic nie dostajemy, ale ten szyling jest nam zbyteczny, niech go wuj weźmie — rzekła Dora.

Ale wuj wziął tylko trzy pensy, zadał nam jeszcze mnóstwo pytań i odszedł.

Na pożegnanie rzekł nam:

— Nigdy nie zapomnę waszej gościnności. Może i biedny Indianin będzie mógł odwdzięczyć się wam i zaprosić do siebie.

— Będzie nam bardzo przyjemnie — rzekł Oswald — niech sobie wuj nie robi z nami subiekcji⁵¹, ani żadnych kosztów! Wystarczy rosół i rosołowe mięso.

Nikt z nas nie lubi rosołowego mięsa — ale wiemy, jak zachowywać się wobec ubogiego krewnego.

Smutno nam się zrobiło po odejściu wuja i pewno dlatego straciliśmy apetyt i nie mogliśmy już jeść podwieczorku. Tylko H. O. napił się mleka — a potem zrobiło mu się niedobrze. I znowu była rycyna w robocie.

⁵¹*subiekcja* — kłopot, trud. [przypis edytorski]

Mam nadzieję, że wuj się nie rozchorował po naszym obiedzie.

XIV. KONIEC POSZUKIWAŃ

A teraz kończy się historia poszukiwania skarbu. I trudno sobie wyobrazić, jak dziwny jest koniec. Całkowity przewrót nastąpił w naszym życiu. Więc posłuchajcie.

Nazajutrz po naszym obiedzie dzień był smutny i ponury, deszcz padał bezustannie i czuliśmy się niedobrze, i chodziliśmy ze skwaszonymi minami.

Ojciec zaziębił się, więc go Dora uprosiła, ażeby nie poszedł do biura i został w domu. Dora zrobiła mu doskonały kogel-mogel i ojciec poszedł się zdrzemnąć do swojego gabinetu.

Postanowiliśmy zachowywać się bardzo spokojnie, ażeby nie obudzić ojca.

Odrabiałem lekcję z H. O., bo mi tak poradził O. D., ale było to nudne. Są chwile w życiu człowieka, kiedy go wszystko nudzi: i książki,

i rodzeństwo, i cały świat w ogóle. Chwile te zdarzają się podczas deszczu.

Dick powiedział, że jeżeli się nie wypogodzi, to pójdzie się utopić, Ala rzekła, że wstąpi do klasztoru, a H. O. zachowywał się poniżej wszelkiej krytyki, starał się czytać dwie książki jednocześnie, jedną prawym, a drugą lewym okiem — i to tylko dlatego, że Noel chciał czytać jedną z tych książek. H. O. rozboleła głowa i gdy skarżył przed Oswaldem, ten powiedział, że to jego własna wina i że jest egoistą.

H. O. rozplakał się, a Oswald zapowiedział, że jeżeli nie przestanie, to mu usta zaknebluje.

Oswald podszedł do okna i spoglądał na tramwaje, dorożki, ludzi uciekających przed deszczem. Po chwili H. O. stanął też przy oknie i Oswald dał bratu na znak zgody swoją maszynkę do temperowania ołówków.

Nagle ujrzeni jakąś wielką karetkę zbliżającą się do ich domu. Była obładowana paczkami i Oswald rzekł:

— Czarodziejska karetka zatrzymuje się przed naszym domem — powiedział to na żarty, ale karetka zatrzymała się rzeczywiście.

— Chodźcie — zawołałem — chodźcie tutaj!

Wszyscy podbiegli do okna. Tymczasem woźnica zszedł z kozła, zaczął zdejmować paczki i wstawiać je do sieni.

— Trzeba by zejść na dół i powiedzieć drożkarzowi, że się omylił — powiedziała Dora.

Z karety wyszedł ktoś bardzo powoli i ostrożnie, „jak ślimak ze skorupy”, porównał Dick i Noel zawołał:

— Ależ to wuj! To biedny Indianin.

Eliza otworzyła drzwi, a my wychyliliśmy się przez poręcz.

Ojciec, usłyszawszy hałas wnoszonych paczek, wszedł do przedpokoju.

— Wiesz, Dicku — mówił do niego wuj — byłem wczoraj na proszonym obiedzie u twoich dzieci. Cóż za pyszne dzieciaki. Na honor, nie spotkałem takich dotychczas! Dora jest żywym portretem nieboszczki Janki, a Oswald to

prawdziwy mężczyzna. Zdaje mi się, że się da przeprowadzić ten interes.

Wszedł z ojcem do gabinetu i zamknęli drzwi za sobą. Zbiegliśmy na dół, ażeby przyjrzeć się paczkom.

Niektóre były zawinięte w szary papier, inne pachniały słodyczami. Nagle posłyszeliśmy hałas i Ala zawołała:

— W nogi!

Pobiegliśmy wszyscy. H. O. tylko nie mógł nadążyć (ma za krótkie nogi) i wuj złapał go za kurtkę.

Byłoby nieładnie zostawić samego H. O., więc zeszliśmy.

— Rewidujecie mój bagaż? — zapytał biedny Indianin.

— Niczego nie dotknąłem — rzekł H. O.
— Czy wuj sprowadza się do nas?

— Nie, moje dziecko, ale paczki możecie otworzyć. Są dla was.

Nieraz już opowiadałem wam o zdumieniu malującym się na naszych obliczach, ale tym razem zgłupieliśmy do reszty.

— Opowiedziałem jednemu z moich przyjaciół o wspaniałym przyjęciu, jakieście mi wyprawili, opowiedziałem mu też o trzech pensjach i magicznej lasce. Przyjaciel mój przesyła wam te upominki. Niektóre pochodzą z Indii.

Trudno wyliczyć wszystko, co nam przysłał przyjaciel wuja. Były zabawki dla młodszych i maszyny elektryczne dla Oswalda i Dicka; piękny serwis do herbaty dla dziewczynek, lalka dla Dory; książka z pięknymi japońskimi obrazkami dla Noela i kolej żelazna dla H. O. Materiały jedwabne na suknie dla sióstr; nawet Eliza dostała koronkowy szal. Wyjął też wuj pudełko cygar i rzekł, mrugając na ojca:

— I tobie, Dicku, przysyła coś mój przyjaciel.

A ojciec (choć się gniewa bardzo, gdy my to robimy) odmrugnął wujowi.

Był to dla nas dzień z bajki.

Od tego czasu wuj przychodził bardzo często, a jego przyjaciel przysyłał nam zawsze jakieś upominki: to słodczyce, to owoce, to po

szylingu. Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem rzekł wuj:

— Pamiętacie dzieci, że obiecałem odwzajemnić się wam za ten wspaniały obiad i poprosić do siebie. Przyjdźcie do mnie w dzień Bożego Narodzenia. Przyjęcie będzie skromne: rosół i rosołowe mięso, ale czym chata bogata, tym rada.

Powiedzieliśmy, jak to się zwykle mówi w takich razach, że o ile ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu, to przyjdziemy z największą przyjemnością.

— No to dobrze. Ojca waszego zaprosiłem także.

Kupiliśmy dla wuja śliczne prezenty na gwiazdkę. Dora zrobiła saszetkę do chustek do nosa, a Ala podstawkę do zegarka.

Oswald i Dick kupili scyzoryk do spółki; H. O. wspaniałą gwizdawkę, a Noel powiedział, że da mu książkę z japońskimi obrazkami, którą dostał od przyjaciela wuja, bo jest to najpiękniejsza rzecz, jaką posiadamy.

Zdaje mi się, że w ostatnich czasach poprawiły się interesy ojca, pewno mu pomógł przyjaciel wuja. Dostaliśmy nowe ubrania, a dziewczynki prześliczne białe sukienki. I w dniu Bożego Narodzenia pojechaliśmy do wuja dwiema dorożkami. Jedną ojciec z dziewczętami, a drugą my sami.

Dopiero po drodze zaczęliśmy się zastanawiać, gdzie mieszka wuj.

— Pewno gdzieś daleko za miastem, w jakiejś nędznej chacie — przypuszczał Noel.

Wjechaliśmy do parku obielonego śniegiem i zatrzymaliśmy się przed dużym czerwonym domem.

W progu czekał nas wuj. Miał na sobie granatowe ubranie i szarą jedwabną kamizelkę.

— Pewno otrzymał posadę woźnego w tym domu — rzekł Dick.

Przypuszczenie wydało mi się słuszne.

Wuj uściskał nas na powitanie, wprowadził do przedpokoju, pomógł nam zdjąć okrycia i rzekł:

— Pozwólcie do mojego gabinetu. — Domyśliliśmy się, że skoro ma własny gabinet, nie może być woźnym.

Gabinet wuja nie był wcale podobny do gabinetu ojca: w środku znajdowała się ogromna kanapa skórzana i głębokie fotele, na ścianach były rozwieszane skóry tygrysie, lamparcie, orły wypchane i rogi jelenie.

Powinszowaliśmy wujowi wesołych świąt i wręczyliśmy mu nasze upominki. Potem wuj dał nam prezenty. Znudziło się wam pewno, że mowa tu ciągle o prezentach! Ale pozwolę sobie zauważyć, że tym razem dał nam wuj same srebrne zegarki z naszymi monogramami.

— Moje drogie dzieci — rzekł wuj — mieszkam w tym domu od tygodnia, ale mieszkanie jest zbyt wielkie dla mnie samego — poprosiłem ojca, ażebyście się tutaj przenieśli. Będzie mi z wami dobrze i mam nadzieję, że wam także będzie nieźle ze starym wujaszkiem.

Wytarł nos i ucałował nas kolejno. Nie miałem nic przeciwko temu, bo to święto, ale w ogóle jestem za stary na całowanie.

— Dziękuję wam za prezenty — ciągnął wuj — ale mam tutaj jeden znacznie cenniejszy — i pokazał nam trzy pensy, które mu daliśmy u nas na obiedzie. — Daliście mi go wtedy, gdy przypuszczaliście, że jestem ubogi, zatrzymam go sobie na zawsze.

Potem uściskał ojca, który rzekł:

— Podziękujcie waszemu wujowi.

— Et, głupstwo — przerwał mu wuj.

— Więc wuj nie jest wcale biedny? — rzekł z rozczarowaniem H. O.

— Starczy mi na moje skromne wymagania — odpowiedział wuj i zaczął oprowadzać nas po mieszkaniu. A mieszkanie było po prostu wspaniałe. Zdaje się, że wuj jest doprawdy bogaty.

Wybaczcie mi, że historia o poszukiwaniach skarbu kończy się jak w książce. Nie moja w tym wina. Życie bywa czasem podobne do książki. Po obejrzeniu mieszkania weszliśmy do salonu, w którym ku naszemu zdziwieniu znajdowała się pani Leslie, lord Tottenham, Albert-z-

-przeciwka, jego mama i wuj, i nasz najmilszy złodziej z dwojgiem dzieci.

Wuj powiedział nam, że zaprosił wszystkich ludzi, którzy byli dobrzy dla nas.

— A gdzie jest szlachetny redaktor? — zapytał Noel. Wuj wytłumaczył, że nie ośmieliłby się zaprosić redaktora, bo go nie zna.

— A gdzie jest pan Rosenbaum? — spytał H. O.

— A gdzie rzeźnik? — zapytała Ala.

I ojciec powiedział, że nie można zapraszać wszystkich, z którymi ma się do czynienia w kwestiach handlowych.

Podano do stołu. Nie było rosółu ani rosółowego mięsa, ale najwspanialsza uczta, jaką sobie wyobrazić można. Po obiedzie wolno nam było pójść do innego pokoju i zabrać ze sobą deser. Dzieci naszego złodzieja nie chciały się bawić z nami. Są nieśmiałe i H. O. nazwał je białymi myszkami.

Przekonaliśmy się potem, że są bardzo miłe, ale o tym opowiem wam w innej książce.

Zamieszkaliśmy razem z wujem. Pani Leslie, wuj Alberta i złodziej odwiedzają nas od czasu do czasu. Po Bożym Narodzeniu zaczęliśmy chodzić do szkoły. Wuj jest dla nas bardzo dobry. I pomyślcie tylko: nie odnaleźlibyśmy go na pewno, gdybyśmy nie byli poszukiwaczami skarbu.

Noel, jak zwykle, ułożył okolicznościowy poemat. Utwór ten był napisany białym wierszem, bo Noel nie mógł dać sobie rady z rymami.

Biedny Indianin z odległych stron wraca,
I kogoż po drodze spotyka?
Spotyka poszukiwaczy skarbu,
Którzy szukali i znaleźli największy skarb...
Drogiego i dobrego wuja.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/nesbit-poszukiwacze-skarbu>

Tekst opracowany na podstawie: Edith Nesbit, Poszukiwacze skarbu, tłum. Halina Jel, wyd. Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie, Warszawa, Kraków 1925.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Katarzyny Dug. Dofinansowano ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach Programu Narodowego Centrum Kultury - Kultura - Interwencje.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Katarzyna Dug, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Śniadanie śpiocha, Carl Larsson (1853–1919), domena publiczna

ISBN 978-83-288-0571-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

EDITH NESBIT, *Poszukiwacze skarbu*
Jak możesz pomóc?

171

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska,
KRS 0000070056